



GOSIA LISIŃSKA

CHWILA,
KTÓRA TRWA



GOSIA LISIŃSKA

**CHWILIA,
KTÓRA TRWA**



WSTĘP

Pomysł na tę książkę powstał na jubileuszowym koncercie Dżemu, na paprocańskiej Dzikiej Plaży, kiedy razem z rozśpiewanym tłumem fanów płakałam przy utworze *Do kołyski*. Stałam tam, razem z mężem i tysiącem innych entuzjastów, i zastanawiałam się, jak pokazać moim czytelnikom, ile dla tyszan znaczy ta muzyka.

Wszystkie fragmenty zaczerpnęłam z oficjalnej strony zespołu. Ich autorami są tekściarze Dżemu, a przede wszystkim nieodżałowany poeta i muzyk Ryszard Riedel. Cudownie było tworzyć, spacerując między ich słowami. Zanurzyć się i słuchać.

Niniejszą książkę dedykuję wszystkim fanom zespołu. W szczególności mojemu Mężowi i Kuzynowi.

ROZDZIAŁ 1: MAREK

Miałem kiedyś wielki dom

*Złoty Pawl**

Cholera, jak jej było na imię? Stella? Bella? Kurwa! Kompletnie nie pamiętałem, a trochę głupio obudzić się w łóżku dupencji, która właśnie przyniosła ci do niego śniadanie, i nie pamiętać, jak ma na imię. Zwłaszcza że sposób, w jaki jej cycki podrygiwały tuż nad moją twarzą, kiedy mnie ujeżdżała wczorajszego wieczoru, pamiętałem świetnie.

– Cześć, śpiący królewiczu. – Blondynka postawiła tacę na stoliku przy łóżku, a ja odetchnąłem z ulgą. Okej. Ona chyba też nie pamiętała. – Usmażyłam ci jajka.

Powstrzymałem parsknięcie śmiechem, bo dwa dni temu oglądaliśmy z ojcem *Kilera*, więc tekst skojarzył mi się jednoznacznie. Laska raczej nie wyglądała na taką, która lubi polskie komedie, więc pewnie by jej to nie rozbawiło. Chciałem wstać, ale właśnie sobie uświadomiłem, że jestem goły, więc poczułem pewien dyskomfort. Co innego pieprzyć pannę wyrwaną w klubie po kilku drinkach, a co innego na trzeźwo paradować przed nią z futem na wierzchu.

– Cześć – burknąłem więc. – Gdzie moje ciuchy?

Pochyliła się, a po chwili na kołdrze wylądowały moje rzeczy. Ubrałem się błyskawicznie.

– Słuchaj... – Zawahałem się.

– Adele – odpowiedziała, przestając się uśmiechać.

Kurwa, nawet nie byłem blisko.

– Adele. – Skinąłem głową, unikając jej wzroku. – Świetnie się

¹Wszystkie cytaty w oryginalnym brzmieniu za oficjalną stroną zespołu (www.dzem.com.pl).

bawiłem, ale na mnie już czas. Dzięki za śniadanie. – Minąłem stolik, nawet nie zerknąwszy na tacę, chociaż kiedy zapach dobiegł moich nozdrzy, poczułem, jak żołądek ściska mi głód. Przy drzwiach zatrzymałem się i popatrzyłem na gospodynię. Mimo wszystko trochę głupio wyszło, więc dla złagodzenia sytuacji dodałem: – Może jeszcze kiedyś...?

Spojrzała na mnie wściekle:

– Pierdol się.

– Okej. – Wzruszyłem ramionami, po czym wyszedłem.

Dochodziła dziesiąta, a w sobotę o tej porze studenci odsypiali piątkowe picie, więc kampus świecił pustkami. Nie mieszkalem tutaj, bo sześć lat temu rodzice kupili mieszkanie na obrzeżach miasta i uznali, że wygodniej i taniej będzie, jeżeli się tam wprowadzę. Kasa zawsze stanowiła priorytet, tacy już byli. Mimo wszystko często bywałem na kampusie, bo albo piłem z kumplami, albo posuwałem tuższe laski.

Ups, mamusia nie byłaby zadowolona, słysząc, jak się wyrażam. Wciąż narzekała, że za dużo przeklinam i że znam oba języki, tak polski, jak i angielski, na tyle dobrze, żeby nie ograniczać się tylko do tych kilku słów. Niby miała rację, ale ja po prostu lubiłem bluzgać. Bluzgać, pieprzyć i tłuc się z chłopakami na macie. Kurwa, trzy najzajebistsze rzeczy pod słońcem. Jest w ogóle takie słowo? Najzajebistsze. Fajne.

W drodze do domu zajrzałem do maka, bo podrażniony zapachem jajek żołądek dopominał się napełnienia. Usiadłem w kącie i przez chwilę delectowałem się kanapką i kawą. Wolałbym tamtą jajecznicę, ale kolejne kilkadziesiąt minut w towarzystwie dziewczyny, o której wiedziałem tylko, że potrafi zrobić świetnego loda, nie wchodziło w grę. Unikałem tego od... Od zawsze.

Drzwi lokalu rozsunęły się, wpuszczając trzy rozgadane nastolatki. Przyglądałem się im przez chwilę z jakąś chorą fascynacją. Szczególnie jednej: drobniutkiej szatynce o twarzy dziecka. Patrzyłem, jak podchodzi do kasy i rozmawia z przyszczatym chłopakiem. Wyglądała pokraccznie w tych krótkich spodenkach, nad którymi koszulka opinała wyduęty brzuch. Kiedy rozmawiała z koleżankami, jak one chichotała

zawzięcie. Jak dla mnie trochę zbyt zawzięcie. W niczym nie przypominała Jolki, a jednak nie mogłem oderwać od niej wzroku.

Jolka. Kurwa! Jolka.

Cholera! Nie myślałem o niej od tak dawna i nagle... Co mnie naszło?

Nastolatka spojrzała w moim kierunku, a potem ponownie pogrążyła się w rozmowie z chłopakiem za ladą. Już nie chichotała, przestała udawać i po prostu była zdenerwowana. Widziałem, że pryszczaty gówniarz się wkurwia, zaczyna machać rękami i krzyczeć na dziewczynę, a ona coś mu tłumaczy coraz bardziej zapłakana.

Przyglądałem się im spięty i co rusz, kompletnie nad tym nie pając, zerkałem na sterzący brzuch dziewczyny. Jak jakiś popieprzony perwers. Ale, cholera, nie potrafiłem się powstrzymać. Wróciły wspomnienia, chociaż przecież nie widziałem Jolki z takim brzuchem. Wyjechaliśmy z rodzicami z Polski zaraz po tym, kiedy mi powiedziała, że jest w ciąży. Zresztą, nawet gdybyśmy zostali, i tak bym nie zobaczył, bo rodzice zapłacili jej za skrobankę. Mama powiedziała, że jesteście za młodzi na dziecko, więc się tym zajęli. Nie, żebym żałował. Nie miałem wtedy nawet szesnastu lat. Kurwa! Szesnaście lat. Mniej niż ta mała, której się teraz przyglądałem. Który szesnastolatek jest materiałem na ojca? Chryste, skończyłem dwadzieścia dwa, a nadal na myśl o dziecku tężałem ze strachu.

Nie, nie żałowałem dziecka, ale czasami zastanawiałem się, jakie by było. Podobne do mnie czy do Jolki? Taki mały urwis jak Wojtek czy ślicznotka jak jej matka? Rozmyślałem o tym cholernie rzadko... Dobra, nie aż tak cholernie. Kiedy mój młodszy brat wpadał na jakiś głupi pomysł albo stroił durną minę, przychodziło mi do głowy tamto nieistniejące dziecko. Jakie by było? I, gdyby jednak się urodziło, czy bawiłoby się z wujkiem, młodszym od niego o dwa lata?

Wojtek przyszedł na świat już w Stanach. Ojciec mówił, że im się przytrafił, a ja czasami myślałem, że mama żałowała niedoszłego wnuka i specjalnie się postarała o dziecko. Tak czy inaczej, uwielbiałem smarka. Scalili naszą rodzinę po tamtej głupocie z Jolką.

Tyle razy powtórzyłem w myślach jej imię, że jakoś tak samoczyn-

nie stanęła mi przed oczami. Najładniejsza dziewczyna w klasie. Cholera, w szkole! Wyglądała jak jakaś pieprzona modelka z tymi długimi nogami, świetnym tyłkiem i niezłymi cyckami. No i te ogromne sarnie oczy. Wiem, wiem, cycki dla faceta są priorytetowe, ale oczy Jolki... I usta: miękkie, wilgotne, wydatne. Wtedy o tym nie myślałem, ale teraz wspomnienie jej pełnych warg od razu skojarzyło się z zajebistym lodzikiem. Teraz, bo wtedy był jeden szybki i zawstydzający numerek. Jak to mówią: ledwie wszedłem, już doszedłem. To dlatego rzuciłem jej wtedy, że to nie mój dzieciak.

Kurwa, wiedziałem, że mój. Pamiętam jej nieśmiałość, ból przy pieprzeniu i krew na prześcieradle. Miała tyle samo doświadczenia co i ja. Zero, null i nothing. Łatwo było powiedzieć, że się puszczała, ale w głębi duszy wiedziałem, że nie, że wybrała mnie. Mnie. Najładniejsza dziewczyna w szkole wybrała mnie na pierwszy raz. Nieźle, co?

Podrząsnąłem głowę, trochę zły na siebie za durne wspominki. Jakbym był babą. Nie należałem do romantycznych facetów. Pewnie dlatego, kurwa, że nie miałem pochwy, nie? Zarechotałem pod nosem, po czym wypilem kawę i już miałem wstać, gdy pryszczaty gówniarz wyskoczył zza kasy, złapał ciężarną nastolatkę za rękę i zaczął szarpać.

Nie miałem pochwy, ale miałem jaja, a w nich płynęła polska krew. Żaden prawdziwy Polak nie pozwoli jakiemuś smrodowi z syfami na mordzie szarpać kobiety w ciąży!

Podniosłem się powoli i podszedłem do awanturującej się pary.

– Puść dziewczynę – poprosiłem.

Moje metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ponad dziewięćdziesiąt kilo mięśni zwykle robiło odpowiednie wrażenie, ale ten gnojek chyba był zbyt nakręcony. Zadarł łeb, bo sięgał mi do brody, i spojrzał zaczepnie.

– Czego? – warknął.

– Puść. Dziewczynę – zaakcentowałem każde słowo.

– Bo co?

– Bo ci wpierdolę – wyjaśniłem grzecznie.

Chłopak poczerwieniał, co przy jego pryszczatej gębie raczej nie dodało mu urody, ale puścił nastolatkę, która szybko cofnęła się poza zasięg jego rąk. Uśmiechnąłem się do niej, a potem ruszyłem do wyj-

ścia.

Zrobiłem ze trzy kroki, zanim krzyknęła. Zacząłem się odwracać. Zauważyłem ruch, więc zadziałał szkolony latami instynkt. Uchyliłem się. Pięść musnęła mój policzek. Odskokczyłem i błyskawicznie wyprowadziłem cios. Jeden, drugi, trzeci. Dziewczyna zaczęła wrzeszczeć, kiedy posłałem dupka na ziemię i przywaliłem czwarty raz. Zamachnąłem się jeszcze, ale już nie uderzyłem. Tu też zadziałało szkolenie. Odetchnąłem kilka razy, żeby uspokoić nerwy, po czym powoli się wyprostowałem.

Szczył leżał z rozkwaszonym nosem, z którego płynęła krew, i płakał. Kurwa, miałem nadzieję, że go nie uszkodziłem.

Zbyt mocno.

*

Gliniarz był bardzo wyrozumiały, ale i tak musiał mnie zatrzymać, skoro przyszczaty złożył skargę. Co prawda widziałem, że policjant, gdy się dowiedział, jak doszło do tego „uszkodzenia ciała”, sam miał chęć przywalić gówniarzowi, ale spisał protokół i sympatycznie zaprosił mnie do radiowozu. Gdy poszkodowany zaczął się pieklić, że nie założono mi kajdanek, oficer Debicky spojrzał na niego w taki sposób, że przyszczaty zamilkł w jednej chwili.

– Pojebane dupki myślą, że im wszystko wolno – mamrotał gliniarz po polsku, kiedy ruszyliśmy sprzed mąka. – Kto to, kurwa, widział, żeby podnosić rękę na ciężarną babę? Świat schodzi na psy, a człowiek musi udawać, że jest okej. – Zerknął na mnie we wstecznym lusterku. – Skąd jesteś, synu?

– Z Greenpoint.

Uśmiechnął się krzywo.

– W Polsce. W Polsce skąd jesteś?

Też się uśmiechnąłem.

– Z Tychów.

– Miasto Dżemu, co?

Tym mnie wziął bardziej niż brakiem kajdanek.

– Słucha pan?

Popatrzył na mnie jak na kosmitę.

– No jak nie, jak tak – odpowiedział zaraz. – Pod Jesionami kiedyś byłeś?

– Po lekcjach chodziłem z kolegami. – Wyszczrzyłem się, a jednocześnie poczułem, jak zaczyna mnie dławić wzruszenie. Tychy, dzieciństwo... Cholera, tęskniłem.

Policjant pokiwał głową z uznaniem. W jego oczach też pojawiła się nostalgia.

– Ja z Wadowic – przyznał cicho.

– Tych od papieża? – Starałem się być dowcipny, bo głupio, kiedy ci się głos łamie. Dopiero co przypieprzyłem szczyłowi, robię za twarzdziela, a ryczę na samo wspomnienie o Tychach. Cholera!

– A są jakieś inne? – Debicky też się wyszczrzył i coś miałem wrażenie, że z tego samego powodu.

Zaśmialiśmy się jednocześnie.

– Wojtek – przedstawił się.

– Serio? Mój brat ma tak na imię.

– Widzisz, młody, jaki świat mały. Dobra, podjedziemy na posterunek, spiszę cię i wracasz do domu. Tylko nikomu po drodze nie przypieprz.

Pożartowaliśmy jeszcze trochę, zanim dojechaliśmy na miejsce. Niestety tam trafił się jakiś upierdliwy biurokrata, który ni cholery nie chciał się zgodzić, żebym wyszedł, więc Wojtuś musiał mnie zatrzymać. Zamiast na dołek, posadził mnie przy swoim biurku, po czym dał telefon i kazał dzwonić.

Po krótkim wahaniu wybrałem numer ojca. Wiedziałem, że nie będzie zachwycony, ale ostatecznie to nie moja wina, że jakiś skurwiel zapragnął pobawić się w Gołotę, prawda? Odczekałem kilka sygnałów, a kiedy włączył się automat, popatrzyłem na Dębickiego.

– Dzwon, ile potrzebujesz – stwierdził tylko, wzruszając ramionami. – Chcesz kawę? Trochę gówniana, ale zawsze. Może znajdzie się też jakiś pączek, chociaż nie obiecuję.

– Chętnie. – Podziękowałem i ponownie spróbowałem skontaktować się z tatą.

Kiedy znów włączyła się sekretarka, przekląłem cicho, po czym niechętnie wybrałem numer mamy. Wiedziałem, że w przeciwieństwie do ojca ona nie tylko się wkurwi, lecz także będzie się martwiła. I to jeszcze jak! Dlatego wołałbym powiedzieć jej po fakcie.

Niestety mama też nie odebrała. A to już naprawdę dziwne, bo zwykle była przyklejona do komórki. Zastanawiałem się nad tym, kiedy wrócił Dębicki. Postawił przede mną papierowy kubek i duże pudełko, w którym ostał się jeden donut, a potem usiadł obok.

– I jak?

– Rodzice nie odbierają. Dziwne, bo o tej porze są zwykle w domu. Wojtek ma rano zajęcia z logopedą i jeżdżą na nie razem, ale powinni już wrócić. – Popatrzyłem na zegarek, który wskazywał dwunastą piętnaście.

– Mogę ci dać namiary na niezłego papugę – zaproponował poli-cjant. – Wyciągnie cię w piętnaście minut.

– Papugę?

– Adwokata.

Trzasnąłem się w czoło rozwartą dłonią.

– Idiota jestem! – przyznałem. – Do Bączka powinienem... To rodzinny prawnik – wytłumaczyłem i sięgnąłem po telefon.

Mecenas Bączek odebrał po dwóch sygnałach.

– Cześć, Dawid – przywitałem się, bo Bączek był kuzynem ze strony matki, starszym ode mnie o piętnaście lat. Od zawsze mówiłem do niego po imieniu.

– Chwała Bogu! – Głos Dawida drżał. – Nie mogłem się do ciebie dodzwonić...

– No bo, kurwa, na posterunku jestem! – warknąłem wściekle, wchodząc mu w zdanie. – Możesz tu wpaść i mnie wyciągnąć? Starczy nie odbierają, kiedy akurat ich potrzeba!

Bączek westchnął. Milczał przez chwilę, aż wreszcie zapytał:

– Który posterunek? – A kiedy mu podałem adres, dodał: – Będę za pół godziny. – I się rozłączył.

Pojawił się trochę później, pewnie utknął w korkach. Machnął do mnie ręką, ale nie podszedł, tylko od razu zajął się formalnościami. Obserwowałem go z daleka z ciekawością, bo byliśmy rodziną, a nigdy nie widziałem go w pracy. Rozmawiał najpierw z jednym, potem drugim policjantem, następnie wszedł do pokoju, na drzwiach którego wisiała jakaś zawieszka – ze swojego miejsca nie byłem w stanie odczytać, co było na niej napisane. Wyglądał przy tym niezwykle profesjonalnie i na miejscu w tym ciemnopopielatym garniturze i białej koszuli, które włożył mimo ponad trzydziestu stopni na dworze. Kompletnie nie pasował do obrazka pijanego Dawidka z ostatnich urodzin mamy, zaglądnącego każdej lasce w dekolt, nawet pulchnym kuzynkom.

Rozmyślałem nad tym z rozbawieniem, trochę tylko podszytym niepokojem, bo miałem nadzieję, że taki inny Bączek wyciągnie mnie w miarę szybko. Wiedziałem, że nie da mi potem żyć i przy każdej rodzinnej okazji będzie wracał do tej historii, ale chwilowo miałem to w dupie. Chciałem tylko wrócić do domu. Nawet jeśli to oznaczało długie zmywanie głowy przez ojca czy załamywanie rąk przez mamę.

Kiedy w końcu Dawid podszedł do mnie, z jego ponurej i dziwnie zmęczonej twarzy nie mogłem niczego wyczytać.

– Idziemy – powiedział tylko.

Wstałem, a potem zerknąłem na towarzyszącego mu Dębickiego. Policjant też już się nie uśmiechał i patrzył na mnie... no jakoś tak smutno.

– Trzymaj się, młody. – Poklepał mnie łagodnie po ramieniu.

Zmarszczyłem brwi, ale zanim zdążyłem zadać jakiegokolwiek pytanie, Dawid pchnął mnie w stronę wyjścia. Normalnie bym się na niego wściekł, ale teraz sam chciałem jak najszybciej opuścić komisariat, więc grzeczniutko ruszyłem do wyjścia. Zupełnie jak gówniarz, który podjeżdżał sąsiadowi rower, bo się chciał karnąć z kumplami do kina, ale złapał go ojciec i wpięprzył mu pasem.

W milczeniu dotarliśmy do samochodu Bączka zaparkowanego na parkingu przed komisariatem. Słońce cholernie paliło, więc nawet na tych kilku metrach zgrzałem się jak świnia, a Dawid nawet nie roz-

chylił marynarki. Szedł obok mnie tak spięty, jakby musiał mnie wyciągać po tym, jak wyrznąłem pół miasta, a nie strzeliłem w morde agresywnemu gówniarzowi. Niby wiedziałem, że to żadna frajda świecić oczami za krewniaka, ale mimo wszystko chyba przesadzał.

– Słuchaj, Dawid... – zacząłem, kiedy wsiedliśmy.

I wtedy zobaczyłem, że jego dłonie na kierownicy się trzęsą. Nie drżą, ale właśnie się trzęsą, jakby dostał jakiegoś napadu. Nie pamiętałem, by mama coś wspominała, że Bączek ma padaczkę czy coś w tym stylu. Przeniosłem szybko wzrok na jego twarz. Nie patrzył na mnie, ale przed siebie, w jakiś odległy punkt za szybą. Nie odpa-lił silnika i tylko siedział, cholernie blady i poważny. Kurwa, w życiu nie widziałem go tak poważnego.

– Co się dzieje? – zapytałem, naprawdę wystraszony.

Spojrzał na mnie, a coś w jego oczach dało mi odpowiedź, zanim on to zrobił. Zaciśnięte zęby, wpiłem palce w siedzenie i czekałem, w sumie wiedząc, co usłyszę. Chryste! Chciałem wyskoczyć z tego samochodu. Uciec i nie słyszeć! Tak cholernie, cholernie tego chciałem!

Dawid westchnął.

– Był wypadek – powiedział cicho.

*

Zapadał zmrok, kiedy wszedłem do domu rodziców. Zamknąwszy za sobą drzwi, stanąłem w ciemności i ciszy. Po tym popierdolonym dniu cisza powinna mnie cieszyć, ale w jakiś cholerny sposób zabolala bardziej niż hałas ostatnich godzin. Cisza. Od pięciu lat, odkąd rodzice przywieźli Wojtka ze szpitala, w tym domu nigdy nie panowała cisza. Zawsze ktoś coś gadał, grało radio albo telewizor, młody nawijał z prędkością karabinu. Za cholerę nie można było zrozumieć tej jego paplaniny. To właśnie dlatego zaczęli go wozić do logopedy...

Stój! Nie będę o tym myślał! Kurwa! Nie mogę, bo zacznę wyć!

Sekundy zmieniły się w minuty, a ja wciąż stałem w ciemnym korytarzu i czekałem. Kompletnie nie wiedziałem na co, ale czekałem. Może na gderającą matkę? Może na wrzeszczącego Wojtka? A może na ojca, który włączy światło, po czym popatrzy na mnie

znad okularów z dezaprobata? Wzbraniał się przed brylami przez pięć lat, aż wreszcie brakło mu ręki, kiedy próbował czytać, i mama zaciągnęła go do okulisty. Od tamtego dnia zawsze łąził z okularami na końcu nosa.

W jednej chwili uderzyła mnie myśl, że już nie zobaczę tych pierdolonych okularów i poczułem, jak tracę opanowanie, które pomogło mi przetrwać dzień. Znikło błogosławione uczucie otępienia towarzyszące mi od wizyty w szpitalu, w którym lekarze przez kilka godzin próbowali ratować mojego rozgadanego braciszka. Z porażającą jasnością dotarło do mnie, że zostałem sam. Moja rodzina przestała istnieć.

Ból mnie sparaliżował. Poczułem lodowaty chłód, a potem żar.

Nie mogłem oddychać. Nie mogłem...

Chciałem uderzyć. Chciałem tłuc. Kogokolwiek. Tamtego kierowcę, ojca, siebie... głównie siebie, bo żyłem, bo, kurwa, żyłem!

Złapałem pierwszą rzecz, jaka mi się nawinęła pod rękę, i cisnąłem. W ciszy trzask rozpadającej się ceramiki zabrzmiał jak wystrzał. Do otumanionego rozpaczą umysłu dotarł obraz złoto-czerwonego brzydactwa, które matka postawiła na komodzie przy wejściu. Znienawidzonej przez ojca koszarnej tandety rodem z najgorszych lat osiemdziesiątych. Matka była z niej taka dumna. Taka dumna...

Nacisnąłem włącznik i przytłumione światło rozjaśniło mrok. Naprzeciwko mnie, pod ścianą, złoto i czerwień migotały w stłamszonym ciemnym kloszem blasku żarówki. Patrzyłem na nie długo, bardzo długo.

A potem upadłem na kolana i zacząłem płakać.

*

Dni się ślimaczyły, a ja nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. Musiałem zorganizować pogrzeb, pozamykać sprawy rodziców, zająć się wszystkim, co dotychczas ogarniali. Zderzyłem się z rzeczywistością, wciąż przebywając w mglistej bańce, w której znalazł się mój umysł po śmierci najbliższych, więc ledwie do mnie cokolwiek docierało. Byłem jak tocząca się zabawka, którą ktoś wprawił w ruch.

Po pogrzebie przeprowadziłem się do rodzinnego domu. Rzuci-

łem studia i całe dni spędzałem w klubie, gdzie na macie dawałem upust szarpiącej mną wściekłości. Trener, który znał mnie od sześciu lat i stał niedaleko w czasie pogrzebu, pozwalał mi na to przez jakiś czas. W końcu jednak, kiedy trzech chłopaków musiało mnie odciągać od faceta, z którym walczyłem, uznał, że wystarczy. Wepchnął mnie pod zimny prysznic, a kiedy próbowałem się ciskać, posłał na ziemię jednym ciosem.

– Nie przychodź, póki się nie uspokoisz – oświadczył.

Siedziałem na podłodze, a lodowata woda spływała mi po twarzy i ciele. Mieszała się ze łzami, ale to do mnie nie docierało. Trener kucnął i pokręcił głową.

– Marek – chyba nigdy nie słyszałem u niego tak łagodnego tonu – musisz się ogarnąć. To kurewsko trudne, ale nie możesz napierdalać wszystkich, bo w końcu kogoś poważnie uszkodzisz i pójdziesz siedzieć. Wiem – machnął ręką, widząc mój wyraz twarzy – że masz w dupie odsiadkę, ale zastanów się, czy naprawdę chcesz mieć kogoś na sumieniu? – Westchnął, a potem dołożył: – Czy oni by tego chcieli?

Zabolało. Wiedziałem, że ma rację, dlatego zabolało podwójnie.

Wracając do domu, mijałem te wszystkie miejsca, które znałem, a które teraz wydawały mi się dziwnie obce, i rozmyślałem. Nie bardzo wiedziałem, co robić z resztą życia. Ostatnimi tygodniami pędziłem na autopilocie, ale zimny prysznic, który zgotował mi trener, wreszcie mnie obudził. Wysokie ubezpieczenie rodziców uwalniało mnie od problemów finansowych i zapewniało całkiem wygodną, bezpieczną przyszłość. Po prawdzie mogłem spędzić resztę dni, gapiąc się w telewizor i obżerając chipsami. Udziały ojca w kilku firmach też się do tego dołożyły. Parę mieszkań w Nowym Jorku i okolicy przynosiło dochód, dzięki któremu mógłbym zostać rentierem. Rzecz w tym, że nie potrafiłbym tak żyć. Musiałem coś robić. Cokolwiek.

Tak zamyślony minąłem ogromny baner stojący przy drodze. Machała z niego dupa w tak skąpym bikini, że centymetr mniej i nie musiałbym się zastanawiać, jakiego koloru ma sutki. „Świat na ciebie czeka. Zobacz go z nami!” – krzyczał oczojebny różowy tekst. Zatrzymałem się i patrzyłem na tandetny obrazek za plecami prawie go-

lej laski.

Tak. To nie był głupi pomysł.

*

Zanim dotarłem do domu, miałem już prawie gotowy plan podróży. Najpierw Europa. Kilka największych miast. Pamiętałem, że mama co roku próbowała namówić ojca na walentynki w Paryżu albo w Wenecji. Ostatecznie zawsze było coś ważniejszego i na kolejne święto zakochanych szli po prostu do kina.

Paryż i Wenecja. Zapisane.

Ojciec za każdym razem, kiedy marudziłem o jakieś ciekawsze wy-cieczki, wspominał wyjazd w dzieciństwie do Berlina. Wtedy to było jeszcze... jak się to nazywało? NRD. Tak, NRD. Kiedyś prawie do-stałem w dupę, bo gdy zaczął śpiewkę pod tytułem „ja w twoim wieku to prawie się posikałem ze szczęścia, że mogę pojechać...”, warkną-łem, że rzygam już tą historią.

Berlin. Koniecznie.

I Camp Nou. Ojciec kocha... kochał Barcę, więc Barcelona.

Dodałem jeszcze kilka miejsc, a każde kolejne utwierdzało mnie w przekonaniu, że właśnie tego mi trzeba. Nie napierdalania Bogu ducha winnych gości na macie czy obrywania od nich po mordzie, ale właśnie wyjazdu, zapomnienia. Nie żebym był w stanie zapomnieć, ale w tym ogarnianiu się, o którym wspomniał trener, na pewno nie pomoże mi półka pamięci. Tak tata nazywał specjalny regał mamy, na którym mniej więcej raz na kwartał układała nowe zdjęcia. Tkwi-łem przed nim i czułem na sobie poważne spojrzenia rodziców z róż-nych okresów ich życia. Jakby tego było mało, z jednej z ostatnich fo-tografii śmiał się do mnie usmarowany jak nieboskie stworzenie Woj-tek. Sam mu robiłem tę fotę, bo cholernie mnie rozśmieszył. Dlatego była trochę rozmazana – bo tak się śmiałem.

Nie, zdecydowanie dom nie pomoże mi wrócić do normy. Więc Europa. Świetnie.

Przesunąłem palcami po szkle, za którym wykrzywił się mój młodszy brat, a potem bez zastanowienia wyjąłem zdjęcie z oprawy

i złożywszy na pół, wsunąłem do portfela.

I właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że jeśli chcę gdziekolwiek polecieć, muszę namierzyć paszport. Nie miałem go w rękach chyba od przyjazdu do Stanów. Zajebicie. Tylko trzysta metrów kwadratowych do przekopania. Kurwa!

Trzy godziny później miałem tak koszmarnego doła, że wyciągnąłem z barku czterdziestoletnią whisky, którą ojciec trzymał na specjalne okazje, i nalałem do szklaneczki niemałą porcję. Żaden ze mnie smakosz, więc nawet nie poczułem różnicy między nią a tym shitem, który zwykle pijałem, ale ciepło rozgrzewające bebechy trochę pomogło. Nie żebym zaraz poczuł się dobrze, ale już nie było tak kurwisko źle.

Na podłodze przy różnych szafkach leżały teraz dziesiątki papierów, na których zapisano historię mojej rodziny. Dokumenty własności, potwierdzenia z banku, umowy, ale i książeczki zdrowia, świadectwa szkolne, ulubione książeczki Wojtka... Mnóstwo różnych bibelotów składających się na tę rodzinę, której już nie miałem. Wszystko, tylko nie paszport.

Westchnąłem ciężko, a potem wziąłem butelkę szkockiej, pustą już szklaneczkę i ruszyłem do sypialni rodziców z nadzieją, że może w mamy sekretarzyku znajdę ten nieszczęsny dokument.

Opróżniłem jeszcze jedną szklanekę, nim przekroczyłem próg. Owszem, cholera, zabołało. Tak jak się spodziewałem. Stałem w wejściu i z żalem przesunąłem spojrzeniem po tym miejscu. Poszewki w kwiatuszki, kilkanaście poduszek, pastelowe barwy... Od razu wiadomo, kto urządził to pomieszczenie.

Postawiłem butelkę na białym blacie z przekonaniem, że dzisiaj ją opróżnię, a później otworzyłem pierwszą szufladę. Kosmetyki, kosmetyki, kosmetyki... Żadnych papierów. W drugiej było podobnie, ale trzecia...

Trzecia sprawiła, że moje serce zaczęło gwałtownie bić i przez chwilę zastanawiałem się, czy jednak nie wypilem za dużo i nie mam zwidów.

W niedużym pudełku leżały paszporty, a pod nimi koperta. Pewnie

bym ją zignorował, gdyby nie moje imię i nazwisko zaraz nad tyskim adresem, napisane dużymi, ładnymi literami. Zaskoczony obejrzałem ją ze wszystkich stron. Nadawcy nie było, tylko adresat. Ktoś już wcześniej ją otworzył, a sądząc po równym eleganckim cięciu z boku koperty, tym kimś zapewne była moja mama. Dziwne, bo przecież zawsze uczulała mnie, że cudzych listów się nie czyta.

Coraz bardziej zainteresowany, wyciągnąłem zawartość, czyli zdjęcie i złożoną na pół kartkę, pokrytą tym samym ładnym pismem. Najpierw sięgnąłem po list. Przebiegłem oczami pierwszy akapit i poczułem, że nogi się pode mną uginają. Opadłem ciężko na krzesło, po czym zacząłem czytać od początku. A potem jeszcze raz...

Cześć Marku!

Nie odpisałeś na żaden z poprzednich listów, więc ten będzie ostatni. Nie będę Ci już zwracała głowy, skoro tego nie chcesz.

Magda skończyła wczoraj cztery lata. Z każdym dniem bardziej przypomina Ciebie. Tak jak Tobie, wciąż jej się buzia nie zamyka i na wszystko ma gotową odpowiedź. Dużo się śmieje. To chyba też ma po Tobie, bo ja nie pamiętam, żebym kiedyś miała tyle powodów do śmiechu. Ma też takie włosy jak Ty: kręcone jasne kędziorki. W ogóle jest strasznie do Ciebie podobna. Mieliście na komodzie takie zdjęcie z Twojego dzieciństwa. I Magda tak właśnie wygląda. Tylko oczy ma po mnie.

Przesyłam Ci jej zdjęcie. Wiem, że chyba nie bardzo Ci zależy, ale pomyślałam, że może chciałbyś zobaczyć. Tym bardziej że teraz nie powinieneś mieć wątpliwości, czy jest Twoja.

Wybacz, że ciągle wysyłam te listy. Chciałam po prostu, żeby mała miała tatę. Ja nie miałam i to nie było fajne. Szkoda, że przeze mnie ona też nie ma.

Tak jak pisałam wcześniej, nie będę Ci się już narzucała.

Jola

Ręce mi drżały, kiedy odwróciłem zdjęcie, żeby pierwszy raz zobaczyć córkę. I oto spoglądała na mnie moja wierna kopia. Wyglądała jak mały diabełek o twarzy aniolka. Włosy o pszenicznej bar-

wie, znacznie jaśniejsze od moich, wiły się wokół ślicznej krągłej buzi o małym zadartym nosku i pełnych ustach.

I faktycznie: oczy miała po Jolce.

ROZDZIAŁ 2: JOLA

Każdy chciałby tylko przeżyć

Nieudany skok

Właściwie nie wiem, czego oczekiwałam po rozmowie z matką. Nie wspierała mnie przez dwadzieścia dwa lata, dlaczego miałyby zacząć to robić teraz? Powinnam raczej założyć, że mnie opieprzy albo powie, że sama naważyłam tego piwa, to muszę też je sama wypić. Czyli powinnam wiedzieć, że zachowa się tak, jak się zachowała. Najpierw zjechała mnie z góry na dół, że przychodzę w sobotę rano i zawracam jej dupę, a potem walnęła tą gównianą sentencją. Jakbym, cholera, sama nie wiedziała, że spierdoliłam.

Przygryzłam wargę i westchnęłam ciężko. Ostatnio coraz więcej przeklinałam. Strasznie mi się to nie podobało, tym bardziej że Magda była jak wybiórcza gąbka. Nie łapała, kiedy mówiłam „jakie to urocze”, ale gdy wyrwało mi się „pojeb”, powtórzyła to nawet w szkole w stosunku do jakiegoś gówniarza, który jej dokuczał. W efekcie wylądowałam na dywaniku u wychowawczyni i musiałam wysłuchać przypowieści o słownictwie wpływającym na przyszłość dziecka. Z niedopowiedzianym dodatkiem: „jakbyś nie zaszła w ciążę, mając piętnaście lat, nie musiałabym ci tego tłumaczyć”. Nie musiała. Chociaż zaszłam.

Tak, byłam głupia, licząc na jakąś dobrą radę czy chociażby przytulenie przez matkę. To trochę tak, jakbym poszła do masochisty, żeby się go poradzić, jak nie cierpieć, nie? Faceci matki, z wyjątkiem może jednego, albo ją tłukli, albo wyzywali od najgorszych. Dla niej to była norma i ni cholery nie rozumiała, co mi nie pasuje w takim związku.

Westchnęłam i zagapiłam się na las. Jezui! Nie chciałam wracać do domu. Kur... Prawie zakłęłam, ale ostatecznie się powtrzymałam.

Ćwiczyłam odpowiednie myślenie, żeby zwalczyć przeklinanie. Czytałam, że to pomaga. Dlatego poprawiłam się i pomyślałam, że strasznie nie chcę wracać do domu. Dochodziła jedenasta, więc Grzesiek już pewnie wstał. Zwykle w soboty odsypiał cały tydzień, więc miałam czas mniej więcej do tej nieszczęsnej godziny. Potem wstawał i zaczynał się koszmar.

Nienawidziłam swojego życia. Każdej jego części z osobna i wszystkiego razem. Bywały takie chwile, kiedy nienawidziłam nawet Magdy. Wybacz mi, Boże, czasami nie znosiłam mojego dziecka, które tak cholernie przypominało swojego ojca. Kiedy na nią patrzyłam, widziałam Marka, ale im była starsza, tym rzadziej był to ten słodki i wygadany chłopiec, w którym się zakochałam, a częściej ten, który wrzeszczał, że to nie jego bękart. Miała ten sam złośliwy błysk w oczach, tę samą przekorę i upór. Zwłaszcza gdy sprzeczała się z Grześkiem. Wtedy wstępował w nią jakiś zły duch i ze słodkiej siedmiolatki wyłaziła złośliwa bestia. I ciągle go testowała, sprawdzała, jak daleko może się posunąć. A ja wiedziałam, że mała kiedyś przesadzi, więc on ją uderzy. I to nie tak zwyczajnie, kłapnie w tyłek, ale naprawdę, tak jak tłukł mnie. Uderzy Magdę, a ja nie zdołam go powstrzymać.

Oderwałam wzrok od paprociańskiego lasu i szybko spojrzałam na zegarek. Jedenasta piętnaście. Do diabła! Musiałam się pośpieszyć. Za długo siedziałam u matki. Nie powinnam zostawiać Magdy z Grześkiem. Cholera! Nie powinnam.

Przyspieszyłam kroku i prawie już biegłam w kierunku osiedla T. Odkąd matka przeprowadziła się do nowego faceta, mieszkaliśmy we trójkę, w dwupokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze, które nawet w swoich najlepszych czasach było obskurne. Pamiętałam wyraz twarzy Marka, kiedy go tu przyprowadziłam w dniu, w którym zrobiliśmy Magdę. Nieukrywane obrzydzenie. Przynajmniej dopóki nie zdjęłam bluzki, bo wówczas Lisowski skupił się już tylko na mnie.

Myślałam wtedy, że wszystko się zmieni, że jeśli on mnie pokocha, wyrwę się z tego całego gówna i w końcu będę szczęśliwa. Dlatego zaplanowałam Magdę. O tak, z mojej strony to było najbardziej planowane dziecko na świecie. Zawsze byłam bystra. Dziwnie to brzmi

w kontekście kogoś, kto ukończył tylko pierwszą klasę liceum, ale naprawdę nie byłam głupia. Miesiącami badałam cykl, żeby wiedzieć, kiedy będzie dobry moment na... na TO. Pierwszy termin odpadł, bo matka się spiła i nie chciała wyjść z domu, a uwodzenie chłopaka, kiedy urzęnięta w trupa mamusia leży na wersalce, wykraczało poza moje możliwości. I tak byłam cholernie spięta. Kalkulacje i plany to jedno, a urzeczywistnienie ich to zupełnie co innego. Tym bardziej, że naprawdę się zakochałam. Bo i nic dziwnego. Marek był nie tylko piękny, lecz także uroczy, zabawny, inteligentny i opiekuńczy. Przynajmniej dopóki nie dowiedział się o Magdzie, bo wtedy wylazło z niego wszystko, co najgorsze.

Nie, nie mogłam teraz myśleć o Marku Lisowskim. Nie miałam na to siły. Moje życie to i tak cholerny bajzel, a on nigdy mnie nie chciał. Ani mnie, ani małej. No i był tysiące kilometrów stąd. Ja zaś tkwiłam tutaj i musiałam zdążyć do domu, zanim mój popieprzony mąż stłucze moją upartą córkę.

Przyspieszyłam jeszcze bardziej i teraz już naprawdę biegłam. Do tego stopnia skupiłam się na jak najszybszym dotarciu do domu, że wpadłam na jakiegoś wysokiego potężnego mężczyznę tuż przed klatką. Musiał być wielki, bo uderzyłam jak w mur. Złapał mnie, nim upadłam, ale nawet na niego nie spojrzałam. Nie miałam na to czasu, więc burknęłam przeprosiny i wbiegłam do klatki.

Usłyszałam wrzask Grześka już na półpiętrze. Jezu! Darł się tak, że pewnie słyszeli nawet na Paprocanach. Wyzywał Magdę od najgorszych. Ją, mnie i wszystkie kobiety, ale głównie skupiał się na małej. Normalnie słysząc, jak mój ślubny sugeruje, że zarabiam ciałem na życie, błyskawicznie bym zawróciła, ale teraz oznaczałoby to zostawienie na pastwę tego skur... tego drania Magdy. A jeśli miałam wybierać między sobą a nią... Cóż, wybór był prosty.

Wpadłam do domu, kiedy na chwilę zapadła cisza. Dopiero teraz naprawdę się wystraszyłam. Przed najgorszym zawsze następowała cisza.

– Grześ! – krzyknęłam tylko po to, żeby ściągnąć jego uwagę, a potem zamknęłam drzwi.

Z korytarza widziałam ich w pokoju. Grześka pochylonego nad Magdą i jej upartą, gniewną buzię.

– Grzegorz. – Ruszyłam w ich kierunku.

Właśnie wtedy rozbrzmiał dzwonek do drzwi. Zignorowałam go, wpatrzona w męża. Nawet z odległości kilku metrów widziałam, jak na jego szyi zaczyna pulsować żyłka. Cholera! Niedobrze.

Dzwonek się powtórzył. Pewnie któryś z sąsiadów nie wytrzymał kolejnej awantury i albo chciał ją przerwać z troski o dziecko, albo po prostu ciekawość zwyciężyła. Tak czy inaczej, zadzwonił trzeci raz, a ja uznałam, że może gość powstrzyma Grześka, więc otworzyłam, wciąż patrząc na dwójkę w dużym pokoju.

– Dzień dobry – przywitałam się.

Grzesiek odsunął się nieco od Magdy. Odetchnęłam z ulgą i w końcu spojrzałam na gościa.

– Cześć, Jolka.

Zamarłam. Stałam tak, patrzyłam na Marka Lisowskiego i praktycznie przestałam oddychać. Miał te same oczy, usta i nos. Twarz mojej Magdy. Siedem lat, a on wciąż miał te same rysy. Fakt, dojrzałsze, poważniejsze, ale nadal tak samo piękne. Tylko znajdowały się jakieś dwadzieścia centymetrów wyżej, niż kiedy widziałam go ostatni raz. Wyrósł i zmężniał.

– Mogę wejść? – zapytał grzecznie.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo Magda właśnie rozpaczliwie zawyla. Odwróciłam się błyskawicznie, ignorując gościa, i rzuciłam się na pomoc córce.

Grzesiek unosił pas. Kiedy on go, do diabła, wyjął?! Przed chwilą jeszcze nie miał nic w ręce, a teraz zamierzał się na Magdę tym szerokim skórzanym gównem, którym zwykle tłuł mnie. Cholera! Cholera! Cholera! Nie mogłam na to pozwolić! Ale nie mogłam krzyknąć, bo to by go tylko rozsierdziło. Dlatego w kompletnej ciszy zrobiłam szybkie dwa kroki...

W drzwiach do dużego pokoju wyprzedził mnie Marek. Widziałam, jak uzbrojona dłoń męża opada, jak moja drobniutka Madzia chowa głowę w ramionach, jak próbuje się skurczyć, osłonić...

A potem był Marek. Złapał rękę Grześka, nim ta sięgnęła celu, i błyskawicznie ją wykręcił. Trzasnęła kość. Grzesiek zawył. Marek chwycił go w pasie i rzucił nim o ścianę. Ot tak po prostu, jakby ten skurwiel nic nie ważył. Wrzask ucichł.

Nie mogłam oderwać wzroku od Marka i Magdy. Boże! Byli tacy podobni. Tacy podobni.

Marek pochylił się nad małą. Już się nie garbiła. Stała wyprostowana jak struna, malutka i zadziorna, z rozczochranymi włosami i w brudnej sukience. Cholera, nie tak powinna wyglądać w trakcie pierwszego spotkania z ojcem. Chciałam ją ślicznie uczesać i ubrać w jedną z tych fikuśnych sukienek, na które odkładałam w tajemnicy przed Grześkiem. Powinna ją teraz mieć na sobie, a nie tę kosztorną szmatę.

Jezu! Popieprzyło mnie.

– Cześć, dzidzia – powiedział Marek miękko. Łagodnie odsunął włosy z czoła córki, a ona, chociaż nienawidziła, kiedy się ją dotyka, nawet nie drgnęła. – Jestem twoim tatą. Chcesz iść ze mną?

Znowu brakło mi tchu. Dotarło do mnie, że on pyta poważnie. Zabierze mi dziecko. Jezu! Zabierze mi dziecko. Zabierze...

Grzesiek jęknął, a potem przeklął. Zerknęłam na niego, a później znów przeniosłam wzrok na Marka i Magdę. Mała przyglądała się ojcu w milczeniu i z ogromną ciekawością. Na mnie nawet nie spojrziała. Lisowski czekał. I miał taki wyraz twarzy...

Zanim zdołałam zdefiniować to, co zobaczyłam na twarzy ojca mojego dziecka, Magda bez słowa wyciągnęła do niego ręce. Marek uśmiechnął się i poderwał ją z podłogi. Przyłgnęła do ojca i zacisnęła łapki na jego karku, a chociaż nie patrzyła w moim kierunku, wiedziałam, że to przedstawienie dla mnie.

Grzesiek przeklinał coraz głośniejszym głosem, lecz wszyscy go ignorowaliśmy. Marek ruszył do wyjścia, trzymając małą. Po czym stanął w drzwiach.

– Zabieram córkę – warknął, patrząc na mnie.

Czekał. Nie wiem, na co. Może na klótnię, może wyrzuty, może próby zatrzymania. Pewnie powinnam zrobić jedną z tych rzeczy. Może nawet powinnam zrobić wszystkie, ale w tej chwili, patrząc

na chłopaka, którego kiedyś tak strasznie kochałam, i na przytuloną do niego jedyną osobę, którą teraz kochałam nad życie, uświadomiłam sobie, że to słuszne. Powinni być razem. Nie potrafiłam ochronić córki, a on sobie z tym poradzi. Uszczęśliwi ją.

– Marek – szepnęłam.

– Mój prawnik się do ciebie odezwie – obiecał zimno, po czym wyszedł.

Słuchałam jego kroków na schodach, zagłuszanych hałaśliwym pojękiwaniem Grzeška, i nie byłam w stanie myśleć. Mój świat stanął na głowie, więc tkwiąc tak na progu obscurnego mieszkania, w którym spędziłam większość życia, miałam wrażenie, że ono właśnie się skończyło.

*

Czekałam prawie dwie godziny na izbie przyjęć w Szpitalu Wojewódzkim, zanim przyjeźli Grzeška, bo zajmowali się ofiarami jakiegoś wypadku. W tym czasie on to jęczał, to przeklinał, to obiecywał, że jeszcze pożałuję. Jęczał głośno, próbując zwrócić czyjąś uwagę, ale przeklinał i składał obietnice cicho, żebym tylko ja słyszała. Jeszcze wczoraj by mnie to wystraszyło, ale teraz... teraz miałam to w dupie. Trwałam w koszmarnym zubożeniu, odkąd ucichły kroki Marka, i jakoś nie mogłam się wybudzić.

Kiedy wreszcie zabrali Grzeška na RTG, w poczekalni nastąpiła błoga cisza. Niestety zamiast pomóc, tylko pogorszyła moje samopoczucie, bo właśnie dlatego z przeraźliwą jasnością uświadomiłam sobie, że pozwoliłam obcemu facetowi zabrać sobie dziecko. Siedziałam na krześle w już prawie pustej poczekalni i wyłamywałam palce ze zdenerwowania. Co ja najlepszego zrobiłam? Nic o nim nie wiedziałam! Tak, był biologicznym ojcem malej, ale przecież nie interesował się nią dotychczas. Jego matka chciała mi nawet zapłacić, żebym usnęła ciążę! Nigdy jej nie chcieli, a teraz nagle Mareczek się zjawia i ot tak po prostu zabiera dziecko?! Jak jakiś ksiączę na białym koniu...

Wstałam, a później zaczęłam nerwowo przemierzać korytarz. Jezus! Oddałam dziecko gościowi, który wyrzeszczał przed całą szkołą,

że dawałam na lewo i prawo, a teraz chcę go zrobić w bękarta. Nazwał moją córkę bękartem! A teraz mi ją zabrał. Zabrał ją, a ja nie wiem, dokąd!

Znałam tylko ich stary adres. Wysyłałam na niego listy przez cztery lata i chociaż żaden nie wrócił, wiedziałam, że mieszkanie już do nich nie należy. Tak, jak jakaś idiotka pisałam przez cztery lata, regularnie raz na pół roku. Nie wiem, na co liczyłam, skoro stara Lisowska wyraźnie powiedziała, że Marek nie wierzy w swoje ojcostwo, ale oni z sentymentu pomogą mi rozwiązać ten problem. TEN PROBLEM! Tak nazwała swoją wnuczkę!

Zaczęło mi brakować tchu ze zdenerwowania i bezradności. Przez siedem lat moje życie kręciło się wokół córki. Naprawdę się starałam. Nie wychodziło, ale się starałam. Nawet za Grzeška wysłałam, żeby w końcu miała jakąś namiastkę ojca. Na tę myśl ogarnął mnie histeryczny śmiech. Ale jej zafundowałam tatusia, co? Na moje usprawiedliwienie przemawiało to, że skurwiel potrafił się świetnie maskować. Przed ślubem niemal nosił mnie na rękach, a Madzi kupował różne zabawki. Dopiero jakieś pół roku później, kiedy stracił pracę, a jego koledzy zaczęli przygadywać, że ma superdupę w domu i że skoro raz dała bez ślubu, to pewnie mogłaby dorobić w taki właśnie sposób, zaczęło się piekło. Nie pomogło nawet, że znalazł nową pracę, jedynie utwierdziło go to w przekonaniu, że się puszczam, kiedy go nie ma.

Nie, o tym też nie powinnam teraz myśleć. Magda. Magda i Marek. Gdzie ona jest? Czy on o nią zadba? Czy będzie wiedział, że trzeba przy niej posiedzieć, zanim zaśnie, bo się boi, odkąd ten kretyń pozwolił jej obejrzeć jakiś horror? A ubranie? Niczego nie zabrał. W co ją jutro ubierze? A będzie pamiętał o myciu zębów? Mleczaki tak szybko się jej psuły, bo matka dokarmiła ją landrynkami.

Jezu! Oszaleję! Zaraz oszaleję!

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie zgłosić na policję porwania, ale skoro Marek był ojcem, to chyba nie było porwania, prawda? A może było? Przecież czasami mówią w telewizji, że ojciec wprowadził dziecko, więc może powinnam pójść na policję?

Oddychałam nerwowo, czując, jak panika wiąże mi w żołądku lo-

dowaty supeł. Jak zawsze w takiej chwili zacisnęłam pięści, aż poczułam, jak paznokcie przecinają mi skórę. Fizyczny ból przywrócił zdolność myślenia. Ponownie opadłam na krzesło, po czym niespiesznie nabrałam powietrza i równie wolno je wypuściłam.

Tak, Jolka, idź na policję. Idź i powiedz, że ojciec twojego dziecka zabrał je z domu, w którym siniaki są na porządku dziennym, w którym mała patrzy, jak sadysta znęca się nad jej matką. Tak, niech policjanci uratują twoje dziecko z domu, w którym będzie pewnie rozpieszczane, w którym niczego mu nie braknie i niech je oddadzą tobie. Bo przecież ty tak sobie, kurwa, świetnie dajesz radę w życiu!

Schowałam twarz w dłoniach i siedziałam tak, aż usłyszałam kroki w korytarzu. Podniosłam wzrok, żeby zobaczyć, jak mój ślubny krzyż nadchodzi w towarzystwie lekarki. Miał nieco mętne spojrzenie i głupio się uśmiechał, więc pewnie podali mu coś przeciwbólowego. Nie widziałam zadowolonego Grzeška z pięć miesięcy, dlatego zagapiłam się na niego zaskoczona.

Lekarka najwyraźniej opacznie zrozumiała mój wyraz twarzy, bo zaczęła z troską:

– Proszę się nie martwić. Mąż dostał mocne znieczulenie. Ma złamaną rękę i pęknięte dwa żebra. Bardzo niefortunnie spadł z tych schodów. – Przy ostatnim zdaniu przyjrzała mi się wnikliwie.

Nie odrywałam oczu od Grzeška, więc z opóźnieniem dotarło do mnie, co powiedziała.

– Pani Koczyk? – zainteresowała się kobieta. – Słucha mnie pani?

– Tak – potwierdziłam po chwili.

– Mąż powiedział, że spadł ze schodów...

– Skoro tak powiedział, to pewnie tak było.

– Nie widziała pani wypadku?

Zaszklone spojrzenie Grzeška nic mi nie mówiło, ale z doświadczenia wiedziałam, że nie należy dyskutować z jego zdaniem. Skoro uznał, że okłamię lekarza, nie zamierzałam tego prostować.

– Mój mąż – Jezu! Prawie się zadławiłam, używając tego określenia – wie najlepiej, jak się nabawił urazu. Nie sądzi pani? – zapytałam grzecznie.

Nie sądziła. Przyglądała się nam w taki sposób, jakby wierzyła, że to ja osobiście zrzuciłam tego skurwiela ze schodów, ale nie dyskutowała więcej. Wręczyła mi pęk recept i jakieś papiery, a potem chłodno się pożegnała.

Stałam niezdecydowana, patrząc na Grześka, aż wreszcie zapytałam cicho:

– Wracamy do domu?

W jednej chwili przestał się uśmiechać, a jego wzrok nabrał ostrości.

– Nie, kurwa – odwarknął. – Poczekamy, aż pojawią się inne posuwające cię pojeby.

Nie miałam siły dyskutować. Od dawna nie miałam już na to siły.

*

Z soboty na niedzielę nie mogłam spać. Nie tylko z powodu głośnych jęków Grześka, lecz także dlatego, że nieustannie rozmyślałam o Magdzie. Przechodziłam od paraliżującego strachu o nią aż po lekką zazdrość, że Marek się nią zajmie. Kiedy w końcu na chwilę zasnęłam, śniła mi się stara Lisowska biegająca za Magdą z gigantyczną żyletką i krzycząca, że trzeba ją wyskrobać. Cholera, w innych warunkach to mogłoby być nawet zabawne, gdyby nie było tak straszne.

Niedziela niczego nie zmieniła. Marek się nie odezwał, ja dalej obgryzałam paznokcie z niepokoju o córkę, a Grzesiek właściwie nie opuszczał pokoju. Siedział w ciszy, co zwykle nie zwiastowało niczego dobrego. Wciąż i od nowa zerkałam na zamknięte drzwi, ze strachem myśląc, co tym razem kombinuje. Aż w którymś momencie do mnie dotarło: i co z tego? Co z tego, że pewnie będzie chciał mi wtluc? Magdy już tu nie ma, więc mogę spróbować się uwolnić. Skurwieli jej nie zagraża! Nie może mnie straszyć tym, co zrobi mojemu dziecku, jeśli spróbuję odejść. MOGĘ odejść. MOGĘ! Marek ochroni Madzię, a ja i tak nie mam nic do stracenia. Gorzej już nie będzie.

Ta świadomość sprawiła, że poczułam obezwładniającą ulgę. Jakbym już była wolna. Myśli tłoczyły się jak szalone, a ja prawie się uśmiechałam. Jak moja Magda, kiedy miała trzy lata. Wszystko ją

wtedy bawiło. Biegała na Paprach za psami, za kaczkami, a czasami za dzieciakami... głównie chłopcami i to zwykle starszymi od siebie. Bywały takie chwile, że bałam się, co z niej wyrośnie, bo matka w rzadkich momentach trzeźwości kiwała głową i powtarzała, że mała jest jak wszystkie baby w rodzinie: strzela oczami za chłopami i ino parrzeć, jak zacznie sprowadzać ich do domu. Wróżyła mi nawet, że już po trzydziestce zostanę babką. I to nawet szybciej niż ona, bo ona urodziła mnie, kiedy miała dziewiętnaście lat.

Wspomnienie Madzi zepsuło mi rodzającą się radość. I znów zaczęłam łązić po dużym pokoju i zastanawiać się, co się dzieje z moim dzieckiem. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Najchętniej poszłabym nad jezioro, bo woda zawsze mnie uspokajała, ale bałam się, że Marek może w tym czasie wrócić i mnie nie zastanie. Nie żebym wierzyła w jego powrót. Wciąż miałam przed oczami tę jego gniewną twarz, gdy stał z małą w drzwiach. Wściekłość i pogarda. Cholera, nawet go rozumiałam. Sama miałam ochotę stłuc się i napłuć sobie w gębę za to, że ten skurwiel uderzył mi dziecko. Tak, to była moja wina. Ja go przyprowadziłam do tego domu i dałam mu prawo...

Nie! Do diabła, nie! Nie dałam mu prawa, żeby mnie bił ani żeby bił Magdę. Nigdy mu na to nie pozwoliłam! Ale byłam słaba. Bałam się o córkę i dlatego wcześniej nie spróbowałam się postawić. Teraz już mogłam.

Z tym przeświadczeniem położyłam się na starej wersalce, która pamiętała chyba jeszcze, jak ja zostałam poczęta, a której sprężyny w kilku miejscach przedziurawiły już tapicerkę, i sięgnęłam po książkę. Lubiłam czytać. Jeszcze w liceum zaczytywałam się w różnych powieściach, bo pozwalały mi zapomnieć o matce, jej kolejnych kochankach, alkoholu, którym wiecznie śmierdziało w mieszkaniu, i biedzie, przez którą nigdy nie miałam przyjaciół. Uwielbiałam książki, chociaż na własność miałam tylko dwie: *W pustyni i w puszczy* oraz *Anię z Zielonego Wzgórza*. Moje najukochańsze tomy. Tę pierwszą Grzesiek podarł w jednym z napadów szału. Tę drugą wciąż przed nim ukrywałam.

Nie miałam własnych książek, ale wypożyczałam z biblioteki przy-

najmniej kilka w miesiącu. Zwłaszcza odkąd Magda poszła do przedszkola, dając mi dziennie kilka godzin tylko dla siebie. Przez nią, a potem przez Grzeska, nauczyłam się czytać bardzo szybko. Niektóre teksty przemykały i nie zostawiały żadnego śladu, ale czytałam czasami coś, co zostawało długo, a nawet wracało w snach i marzeniach.

Ten tom należał raczej do pierwszego rodzaju. Ewentualnie nie potrafiłam się na nim skupić, bo w wyobraźni już szukałam w poniedziałek adwokata. Najlepiej takiego, który pomoże mi w rozwodzie, a potem w odzyskaniu Magdy... i będzie tani. Cholera, najlepiej darmowy, bo moje oszczędności nie pozwalały na zbyt wiele. Nie pracowałam od roku. Grzesiek, jeszcze słodki na początku małżeństwa, oświadczył, że jego kobieta ma leżeć i pachnieć, a nie zapierdalać na życie. Nie powiem, wtedy mi się to podobało. Ostatecznie pracowałam od siedemnastego roku życia i chciałam wreszcie poczuć trochę tego bycia młodą i beztroską. Dlatego z dnia na dzień rzuciłam głównianą i niskopłatną pracę, z której utrzymywałam siebie i córkę przez cztery lata. Głupia co prawda nie byłam, ale w papierach jak byk stało, że edukację ukończyłam na poziomie drugiej klasy liceum. Inaczej mówiąc, byłam ledwie po podstawówce. Nie mogłam liczyć na więcej niż praca przy taśmie albo w jakimś maciupkim sklepiku z alkoholem, do którego wpadało największe menelstwo z okolicy. I w ten właśnie sposób zarabiałam na życie. To znaczy z pracy przy taśmie na terenach przemysłowych. Miałam dziecko, więc nie mogłam pracować po nocy w szemranych sklepikach.

Z tamtych przedgrzeszkowych czasów miałam kilka tysięcy na koncie, o którym nigdy nie powiedziałam mężowi. Oszczędzałam po stówce czy dwóch miesięcznie przez cztery lata. Nie używałam kosmetyków, a ciuchy kupowałam, kiedy już nie miałam w czym chodzić i zawsze w szmatlandzie. Kasę wydawałam tylko na niezbędne rzeczy, więc co miesiąc coś tam zostawało. Pewnie gdybym była zakochana w Grzesku, powiedziałabym mu o tych zaskórniakach, ale nigdy nie żywiłam do niego aż tak gorących uczuć. I dlatego teraz miałam trochę na start. Niewiele, ale powinno wystarczyć, póki nie znajdę jakiejś roboty.

Odłożyłam książkę, bo plany znowu zaczęły się tłoczyć w mojej głowie. Już nie tylko adwokat, ale i praca, a w końcu powrót do szkoły i matura. Wreszcie wszystko stało się możliwe. Poczułam przy tym ukłucie wyrzutów sumienia, bo przecież dopiero zniknięcie z mojego życia Magdy sprawiło, że mogłam zacząć planować tę wymarzoną przyszłość. Zaraz je jednak ukoiliłam, obiecując sobie, że jak tylko uwolnię się od Grzeška, odzyskam córkę. Mogę pracować, uczyć się i jednocześnie opiekować córką. Kobiety tak robią. Ja tak robiłam. Wcześniej nie byłam taka bezradna i znów nie będę, kiedy tylko odzyskam życie.

Tak bardzo pograżyłam się w marzeniach, że nie usłyszałam podchodzącego Grzeška. Zwykle starałam się być czujna i w odpowiednim momencie uciekałam przed jego pięścią. Teraz nie zdążyłam. Uderzył mocno, prosto w twarz.

– Ty kurwo! To przez ciebie! Przez ciebie! – wrzeszczał, okładając mnie po głowie.

Ośłoniłam się o kilka sekund za późno. Szarpiący ból już promieniował od brody po skroń. Poderwałam się z kanapy, próbując przed nim uciec, i na chwilę mi się to udało. Na tyle, by zobaczyć koszmarną furję na jego czerwonej twarzy.

I to był ten moment. Ułamek sekundy, który wszystko zmienił.

NIKT mnie już nie uderzy. NIGDY!

Rzuciłam się do kuchni, a on pobiegł za mną. Rano kroiliam szynkę wielkim kuchennym ostrzem, a potem zapomniałam schować je do szuflady. I teraz złapałam je w rękę. Stałam na lekko ugiętych nogach, pochylona, z piekielnie ostrym nożem w dłoni i patrzyłam na tego skurwiela. Zatrzymał się w drzwiach, wciąż wściekły, ale nie przekroczył progu. Gapił się na mnie zszokowany, bo nigdy wcześniej nie próbowałam się bronić. Nawet nie drgnął, bo wiedział. Wiedział, że się nie zawaham. Nikt mnie więcej nie uderzy. NIGDY!

– Spierdalał z mojego domu – wysyczałam, nie odrywając od niego wzroku.

Przez sekundę, może dwie, nie byłam pewna, czy posłucha. Chyba nawet liczyłam, że tego nie zrobi. Jezu! Marzyłam, że tego nie zrobi

i będę mogła wbić te trzydzieści centymetrów w skurwiela, a potem jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, aż jego flaki rozleją się na to kosztmarne linoleum.

Ale Grzesiek przeklął głośno, po czym odwrócił się i wyszedł. Trzasnął drzwiami z taką mocą, że futryna zadrżała. W domu zapadła cisza. Czas stanął, świat się zatrzymał. I tylko moje serce było jak szalone.

ROZDZIAŁ 3: MAREK

Mama powiedziała mi, że każdy ma swojego Anioła

Niewinni i ja, cz. I i II

Przyglądałem się panoramie Tychów z hotelowego okna, wsłuchany w chrapliwy oddech Magdy. Ten dźwięk w jakiś magiczny sposób mnie wyciszał i stanowił doskonałą oprawę do widoku na zewnątrz. Miasto mojego dzieciństwa właśnie kładło się spać, więc już niewielu przechodniów spacerowało szerokimi chodnikami czy siedziało na ławeczkach w ciemniejszych alejkach tuż za wiaduktem. Zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku o tej porze. To też mnie uspokajało. Wracali wspomnienia z dzieciństwa, kiedy po zmroku z chłopakami biegaliśmy nad stawami, doprowadzając naszych rodziców do białej gorączki ze strachu. Nie zwracałem wtedy uwagi na magię lamp oświetlających chodniki stłumionym blaskiem tak, jakby chciały je przemieścić w inny czas. A może wówczas nie było tylu lamp? Cholera, nie pamiętałem. Ledwie siedem lat, a ja tak wiele zapomniałem z mojego miasta. Jednocześnie każda nierówność na tyskiej ulicy wydawała mi się znajoma. Dziwne.

Magda odetchnęła hałaśliwie, więc odwróciłem się, żeby na nią popatrzeć. Spała zwinięta w kłębek, rozpaczliwie ściskając białego misia, którego jej kupiłem. Nieujarzmione włosy opadały jej na policzek i czoło. To było jedyne podobieństwo między nią a Wojtkiem. Włosy mojego brata, ciemne, odziedziczone po tacie, tak samo przysłaniały mu buźkę, kiedy spał. Mama pozwalała im rosnąć, chociaż tata twierdził, że Wojtek wygląda jak dziewczynka. Przyszło mi teraz do głowy, że robiła to podświadomie, bo chciała trochę upodobnić młodsze dziecko do wnuczki, której nie zamierzała nigdy poznać.

Na to wspomnienie znów poczułem bezsilną złość. Nie rozumiałem postępku matki. Byłem na nią tak kurewsko wściekły, że to uczucie prawie zabiło żal z powodu jej śmierci. Gniew się kumulował, aż w końcu wybuchnął, kiedy zobaczyłem tamtego skurwysyna bijącego moją małą córeczkę. Mogłem go zabić. Serio mogłem i właściwie cały czas żałowałem, że tego nie zrobiłem. Może to sprawiłoby, że nie czułbym już takiej wściekłości na matkę? Bo przecież winiłem ją za to, co spotkało Magdę. Złali mi się w jedno: matka, która zostawiła małą dziewczynkę na pastwę takiego zwyroła, i ten pojeb. No i Jolka.

Kurwa! Znów zacząłem się wściekać, a nie miałem szans się wyżyć. Mordobicie odpadało, tak samo jak ostry seks. W jednym i drugim przypadku nie mógłbym zostawić małej. Powoli zaczynało do mnie docierać, że życie się zmieniło. Jeszcze trzy dni temu, kiedy przyjechaliliśmy z Dawidem do Tychów, chciałem tylko zobaczyć córkę, może spędzić z nią trochę czasu, ewentualnie ustalić jakiś podział opieki czy coś. Nie zamierzałem odbierać jej matce ani zostać jej opiekunem. Kurwa! Miałem dopiero dwadzieścia dwa lata! Nie dorosłem do tatusiowania.

Jeszcze w Stanach Dawid wydzwaniał do polskich kolegów ze studiów, szukając specjalisty od spraw rodzinnych na wszelki wypadek, jakby z Jolką były jakieś problemy. Kiedy dotarliśmy do Tychów, od razu chciałem pędzić do córki, ale mnie powstrzymał. Umówił nas na spotkanie z mecenas Trybałą i nalegał, żebym się najpierw z nią zobaczył. Głównie po to, by przedstawiła mi opcje. Kurwa! Opcje?! Jedyną opcją, jaką przyjmowałem do wiadomości, było poznanie córki. Co prawda w samolocie myślałem trochę nad tym, jak Jolka może przyjąć moją nagłą wizytę, ale szybko odsuwałem te myśli, bo za nimi szła inna, boleśniejsza, przypominająca, że matka mnie okłamała.

Na takiej emocjonalnej huśtawce wchodziłem w piątkowe popołudnie do kancelarii mecenas Moniki Trybały. Towarzyszył mi Dawid, a po jego pełnej napięcia minie spodziewałem się... a cholera, sam nie wiem, czego się spodziewałem. Wspominał, że poznał tę babkę na studiach, ale uśmiechał się przy tym tak debilnie, że pewnie to było dość dogłębne poznanie. Niełatwo było wyobrazić sobie

pulchnego Dawidka w objęciach jakiejś laski, więc oczekiwałem raczej pasztetu w spódnicy.

– Pączek, pierdoło! – Smukła kobieta wstała zza biurka, kiedy jej asystentka otworzyła nam drzwi. – Milion lat, a ty wciąż jak donut bez dziurki!

Podbiegła do Dawida i zarzuciła mu ręce na szyję. Znalazła się dzięki temu na tyle blisko, że mogłem ją sobie dokładnie obejrzeć. Nie, z całą pewnością Bączek nie bzykał takiego towaru. Kompletnie nie jego liga. Pani mecenas należała do najwyższej klasy. Wysoka, więcej niż ładna i cholernie zgrabna z zajebistym tyłkiem i perfekcyjnymi nogami, które podkreślała tak krótką spódniczką, że pięć centymetrów mniej i nawet tuniką trudno by to było nazwać. Nic w niej nie wskazywało na zawód, jaki wykonywała. Na dziwkę też nie wyglądała, bo ciuchy, chociaż wyzywające, sugerowały dość kosztowny gust. I dobrała je, mimo wszystko, z elegancją.

Spojrzała na mnie zza ramienia Dawida, po czym niespiesznie odsunęła się od niego i poprawiła długie, proste rude włosy w taki sposób, że mój fiut błyskawicznie o sobie przypomniał. Kurwa, nie bzykałem od wieków! A pani mecenas wyglądała na chętną. Cholera, serio wyglądała! Od jakiegoś czasu byłem już dorosły i widywałem taki wyraz twarzy u kobiet, więc nie pomyliłbym go z niczym innym.

– To ten twój kuzyn, pączusiu? – zapytała zamszowym tonem, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Marek Lisowski. – Wyciągnąłem do niej rękę.

– Monika Trybała. – Uśmiechnęła się ołśniewająco, przyjmując uścisk.

Ledwie mnie dotknęła, a wiedziałem, że muszę ją przelecieć. I właściwie byłem gotowy... taaaa, byłem, jak nic. Zwłaszcza gdy odwróciła się i kręcąc tym zajebistym tyłkiem, ruszyła do biurka.

– Siadajcie. – Wskazała nam krzesła. Sama zajęła miejsce po przeciwnej stronie. Spoważniała, sięgnęła po okulary, a gdy założyła je na nos, w końcu zobaczyłem tego adwokata, o którym mówił Bączek. Nowy uśmiech pani mecenas nie był zachęcający. I nie patrzyła już na mnie, zadając pytanie: – Kawa, herbata?

– Kawa.

– Asiu, zrób dwie kawy dla panów – poleciła chłodno. Później rozparła się na skórzanym fotelu z wysokim zagłówkiem. – A teraz mówcie.

Nie zamierzałem jej zdradzić wszystkiego, bo nawet Dawid nie wiedział, że rodzice ukryli przede mną istnienie córki, wmawiając, że Jolka usunęła ciążę. Monika jednak miała jakiś cholerny dar wyciągania tego, czego nie chciało się powiedzieć. W ten sposób mówiłem i mówiłem... Wyznałem jej całą prawdę, z najgorszymi szczegółami. Przyznałem się nawet do zaprzeczania oczywistemu ojcostwu, co przecież nie przedstawiało mnie w najlepszym świetle. Kobieta słuchała, czasami przerywając pytaniem. Kiwała głową, postukiwała palcami o drewniany blat biurka, chwilami zamierała z dłońią uniesioną tuż nad nim. Gdy skończyłem, popatrzyła na Bączka i zapytała:

– Wiesz, że sprawa nie będzie łatwa, jeśli matka dziecka nie zechce współpracować?

– Wiem.

– A twój kuzynek wygląda na młodego byczka, który nadrabia braki charakteru wrzaskiem albo waleniem po ryju?

O, kurwa!

– Przepraszam... – zacząłem grzecznie.

– Nie przepraszaj. – Uśmiechnęła się słodko. – Osobiście lubię taki rozbuchany testosteron. Rajcuje mnie. Ale to nie ja będę rozstrzygała twoją sprawę, tylko któraś z tyskich sędzin. A one nie pamiętają już, jak to jest dawać takim ostrym cukierczkom. – Wykrzywiła się lekko.

Zacząłem się podnosić, ale Dawid złapał mnie za rękę i pociągnął z powrotem na krzesło. Monika pokręciła głową.

– O tym mówię, mój drogi. Musisz się nauczyć nad sobą panować. Jeśli się nie dogadasz z matką dziecka, nie mamy szans na prawa rodzicielskie. Będzie miała świadków, że się wyparłeś ojcostwa. Może mieć też jakieś listy od twojej matki. A nawet jeśli nie ma, nie interesowałaś się dzieckiem przez siedem lat. I pewnie dalej miałbyś je w dupie, gdybyś nie poczuł się nagle samotny, bo twój tatuś wpięprzył rodzinę pod ciężarówkę.

– Pierdol się! – warknąłem. Poderwałem się z krzesła i ruszyłem do drzwi.

Była szybsza. Zastąpiła mi drogę i patrzyła wyzywająco. Chciałem ją uderzyć. Kurwa! Jak ja chciałem ją uderzyć... A wtedy jej spojrzenie się zmieniło. Złagodniało. Monika westchnęła i z wahaniem dotknęła mojej ręki.

– Postępuj – zaczęła miękko – jej adwokaci mogą być dużo bardziej chamscy. A jeśli nie nauczysz się nad sobą panować, zapomnij o dziecku.

Zamrugałem zdezorientowany. Zerknąłem na Bączka, a potem znów na Monikę.

– Wkurwiłaś mnie specjalnie? – domyśliłem się wreszcie.

Potaknęła.

– Jeśli ja widzę, że wszystko w tobie buzuje, jej adwokat też to zobaczy. I zobaczy to sędzia. A wówczas przegrasz. Musisz się kontrolować.

Zacisnąłem zęby i pokiwałem głową.

– Co mam zrobić?

– Zaczynij od próby porozumienia się z matką dziecka. Zawsze najlepiej załatwiać to bez sądu. – Poklepała mnie po ramieniu, po czym dodała: – I na litość boską, bądź grzeczny.

No i, kurwa, byłem.

Naprawdę chciałem porozmawiać z Jolką. Miło, sympatycznie. Może nawet przeprosić. Chuj z tym! Mogłem przeprosić. Nie zdechłbym od tego. Szedłem na osiedle T z przekonaniem, że dam radę, że będę się słodko uśmiechał, kajał i w ogóle roztoczę cały urok, jakim obdarzył mnie szatan, żeby odzyskać względy Jolki. Byłem gotowy na cholernie dużo, żeby tylko się z nią dogadać.

I prawie mi się udało. Zobaczyłem te wielkie sarnie oczy Jolki i już przygotowywałem kolana, żeby na nie paść. Zmieniła się. Cholera, zmieniła się, ale w taki sposób, jaki daj Boże każdej lasce zmieniać się z wiekiem. Wyglądała jak marzenie, nawet w tych koszmarnych ciuchach i z włosami spiętymi w kucyk. Była kurewsko piękna. Nie tak jak kiedyś, jak śliczna szesnastolatka, ale jak dojrzała, zmysłowa kobieta. Trochę jak Cindy Crawford w czasach swojej świetności albo

jakaś inna supermodelka. Gapiłem się na nią i gapiłem, a cała wykuta na pamięć przemowa poszła się jebać.

A potem usłyszałem krzyk małej i przestałem myśleć.

*

Madzia siedziała naprzeciwko mnie w maku i zjadała frytki z prędkością umierającego z głodu. Potrafiła jeść i gadać jednocześnie i korzystała z tej umiejętności z podziwu godną łatwością.

– I Tośka ma teraz brata. Brzydki taki, pomarszczony i czerwony.
– Pięć frytek do buzi i sekunda przerwy, ale zanim przełknęła, już mówiła dalej: – I łysy. Zupełnie jak ostatni gach babki. Gach. Wiesz, co to? – Niewinne błękitne oczy patrzyły na mnie z ciekawością. Nie zdążyłem jednak zareagować, bo córka sama znalazła odpowiedź: – Chyba nie. Nie wyglądasz, jakbyś wiedział. Ja też nie wiem, ale pani Tereska powiedziała, że to gach babki. Mama powiedziała, że to pojeb – wyszeptwała, nerwowo rozglądając się wokoło. – Zabroniła mi tak mówić, bo musiała przez to iść do pani. Pani mówi, że to brzydkie słowo. Pewnie brzydkie – kolejne trzy frytki – bo mama strasznie się wstydziła i kazała nie używać tego wyrazu. Powiedziała, że to niekul... niekul... Niekultywne?

– Niekulturalne?

– No, chyba tak. Nie-kul-tu-lalne – przesyłabizowała prawie do brze. – I teraz mówi o gachu babki, że jest niedobry. Jak dla mnie to on jest pojeb, bo niedobry to jest Przemek, kiedy mnie ciągnie za włosy, a nie pan od babki. Mama zabrała mnie do nich tylko raz, ale kiedy pan mnie chwycił za rękę, strasznie się zdenerwowała i krzyczała na niego. I teraz to już chodzi do babki beze mnie. – Kolejne frytki, tym razem w towarzystwie nuggetsu. – Dobrze to. Kocham maku, ale mama mówi, że nie mamy kasy, żeby tu przychodzić, wiesz? Zabiera mnie tylko na urodziny i inne takie. Od święta. Nie wiem jakiego, ale od. Jeśli jest od, nie powinno być do? Jak myślisz?

Mówiła dalej, skacząc z tematu na temat z płynnością szalonego mistrza tańca nowoczesnego, a ja nie mogłem oderwać od niej wzroku. Gadała i gadała, nie przestając nawet na chwilę. Faktycznie nie przy-

pominała swojej matki. Pamiętam, że Jola należała do najbardziej milczących dziewczyn w szkole. To i uroda wyróżniały ją na tle pozostałych. Czy ja aż tyle mówiłem? Może. Wojtek taki był. Też mu się buzia nie zamykała.

– Coś cię boli? – zainteresowała się nagle Magda, marszcząc brwi.

– Dlaczego?

– Bo tak wyglądasz. Jak mama, kiedy ją poprosiłam o lalkę, bo Tośka ma ich całe mnóstwo i chciałam jedną. Mama też tak miała. Jak ty. I powiedziała, że ją serce boli. Boli cię serce?

Zamrugałem zaskoczony. Bystry dzieciak. I spostrzegawczy.

– No to teraz już mamę nie będzie bolało serce, nie? – Uśmiechnęła się, głaszcząc łagodnie barbie, którą wybrała dwa dni temu w sklepie. – Mam teraz więcej lalek niż Tośka. Skręci ją, jak zobaczy, nie?

– Jak to skręci?

– No, babka tak mówi. Że skręci ciotkę, jak zobaczy jej nową sukienkę. To pewnie Tośkę skręci. Wiesz, co to znaczy? Bo mama mi nie chciała powiedzieć i kazała tak nie mówić, bo to nieładnie. To jak, wiesz?

Wepchnęła do ust ostatni kawałek kurczaka i przyglądała mi się wyczekująco. Wyglądała zupełnie inaczej niż dwa dni temu. Miała na sobie sukienkę, którą poleciła mi laska w sklepie, ładniutkie białe sandaalki, a włosy uczesała jej fryzjerka z galerii, bo mnie przerosły warkoczyki. Co rusz dotykała jednej z kilku lalek barbie, które kupiłem jej w sobotę, jakby musiała się upewnić, że faktycznie do niej należy. Gdyby nie to, w niczym nie różniłaby się od córek naszych co zamożniejszych sąsiadów z Nowego Jorku.

– Tęsknisz za mamą? – zapytałem, zamiast odpowiedzieć.

Skrzywiła się i przez chwilę rozmyślała, obgryzając paznokcie, aż łagodnie wyciągnąłem je z jej buzi.

– Magda?

– Myślę.

– Nad czym?

– Nad tym, czy tęsknię.

– I co wymyśliłaś?

Pokręciła niespiesznie głową.

– A jak powiem, że tak, odwieziesz mnie do niej? – zapytała z nieukrywaną obawą.

– A chciałybyś?

– Nie – odpowiedziała po chwili. – Nie chciałabym. Z tobą jest fajniej. Mam ładne sukienki i zabawki. I mieszkamy w fotelu, a w nim jest tak... fajnie. – Potaknęła ochoczo, ale po chwili dodała już ściszym głosem: – I daleko od niego. Tak – kiwała głową – daleko od niego. Ale mama tam została. Szkoda, że jej też nie wzięłeś. Powinneś ją zabrać, wiesz? Tata i mama powinni być razem. Tośka mówiła, że powinni. Jej są. Możemy zabrać mamę? Żeby jej serce nie bolało?

Poczułem dziwne drapanie w gardle, ale na szczęście w tej chwili rozbrzmiał dzwonek komórki, wybawiając mnie od konieczności odpowiedzi. Zerknąłem na wyświetlacz. Pani mecenas.

– Wpadnij do mnie – warknęła, zamiast się przywitać. – Czekamy z Dawidem.

– Jestem z córką w McDonaldzie.

– To zabierz ją ze sobą. Puszczę jej jakąś bajkę. Już! – I rozłączyła się.

Kiepsko znosiłem rozkazy, a już kompletnie fatalnie wydawane takim tonem, tym bardziej, że w końcu to ja płaciłem jej, a nie ona mnie. Skoro jednak Dawid upierał się, że Monika jest jednym z najlepszych adwokatów rodzinnych w Tychach, powinienem posłuchać.

*

– Nie miałaś być grzeczny? – zapytała adwokatka, kiedy tylko usiadłem naprzeciwko niej.

Na ładnym, wciąż jeszcze pozbawionym zmarszczek czole pulsowała jej żyłka. Przyglądałem się jej z zainteresowaniem, zastanawiając jednocześnie, jak to możliwe, że Monika wygląda tak młodo, skoro jest w wieku Bączka. Ma... Kurwa! Ma trzydzieści siedem lat! A nie dałbym więcej niż trzydziestkę, a i to dlatego, że wiedziałem, czym się zajmuje.

– Słuchasz mnie, do cholery? – Jej głos opadł zwodniczo prawie do

szeptu. Dziwne, bo wyglądała, jakby miała wybuchnąć.

– Słucham – skłamałem grzecznie.

– Dawid powiedział, że pobiłeś ojczyma swojej córki. – Monika wstała. Chyba ją nosiło, bo zaczęła nerwowo przemierzać szerokość pokoju. Tym razem nie założyła mini, ale letnią sukienkę do kolan. Bardziej dziewczęcą niż seksowną. To w sumie nic nie zmieniało, bo gdy się ruszała, materiał opinał jej zgrabną dupcię tak, że znów czułem nacisk w kroczu. Uciekłem spojrzeniem, żeby nad tym zapamiętać, i spróbowałem skupić się na pulchnym kuzynie, który unikał mojego wzroku. Gnojek.

– Od razu pobiłem – burknąłem, analizując małego syfa, który wylażył Bączkowi na brodzie. Kurwa! Gość dobiega czterdziestki i ma pryszczę? No bez jaj! – Chwyciłem mu rękę, żeby nie uderzył małej, i pchnąłem go na ścianę.

– Złamałeś mu rękę – sprecyzowała kobieta z cichym warknięciem. – I uszkodziłeś dwa żebra!

– Tylko dwa? – zdziwiłem się uprzejmie. – Koleś musi mieć kręgosłup z żelaza.

Monika zatrzymała się w pół kroku. Zmarszczyła brwi, po czym ominęła biurko i pochyliła się nade mną.

– Bawi cię to? – zapytała.

Cholernie trudno było odpowiedzieć, bo zapach jej perfum i ciepło ciała znów pobudziły mojego fiuta. Kurwa, Lisowski! Panuj nad sobą!

– Marek... – zaczął Bączek.

– Nie – odpowiedziałem spokojnie. – Nie bawi. Gdybym posłał skurwysyna na OIOM, to by mnie bawiło, albo jakbym wyrzucił go z tego pierdolonego czwartego piętra i zobaczył, jak rozpląszcza się na chodniku... O! To by mnie bawiło! Fakt, że tylko złamałem rękę kutasowi, który tłukł małą dziewczynkę... Nie, to mnie nie bawi.

W pokoju zapadła cisza. Mecenas Trybała przyglądała mi się z dziwnym wyrazem twarzy przez kilkanaście sekund, a potem westchnęła i wróciła na swoje miejsce.

– Wiesz, że gdybyś złożył doniesienie, mógłbyś zapomnieć o córce? Zacisnąłem zęby. Kurwa! O tym nie pomyślałem. Lodowaty strach

skurczył mi żołądek, ale zaraz dotarło, co powiedziała Monika, więc zapytałem z nadzieją:

– Nie złożył?

– Nie. Nie złożył. Najwyraźniej bardziej bał się prokuratora w związku ze znęcaniem nad dzieckiem, niż chciał zemsty. Powiedział lekarce, że spadł ze schodów.

Odetchnąłem z ulgą.

– Prokuratora? – dopytywałem jednak.

– Kiedy mi opowiedziałeś, co się stało, wróciłem na T. – Bączek uśmiechnął się szeroko. – Złapałem ich jeszcze przed klatką, kiedy czekali na taksówkę, i zasugerowałem mu coś w tym stylu.

Dawno nie widziałem czegoś tak pięknego, jak wyszczerzone ząbki Dawida. Jak byśmy byli sami, chyba bym go uściskał. Zależało mi jednak, żeby Monika widziała we mnie samca alfa, więc tylko kiwnąłem głową z wdzięcznością.

– To skąd wiecie o ręce i żebrach? – zainteresowałem się.

– Moja koleżanka jest lekarzem w wojewódzkim. Popytała – wyjaśniła Monika. – Dzwoniłam też do przyjaciela w komendzie. Stąd wiem, że Koczyk nie złożył doniesienia. Masz szczęście, cholera jasna. – Pokręciła głową.

– Mam zajebistego kuzyna, a nie szczęście. – Mrugnąłem do niej.

– Zajebisty kuzyn nie ochroni cię przed oskarżeniem o porwanie małoletniej.

– To moja córka.

– Jesteś pewien?

Warknąłem cicho i zacząłem się podnosić, ale Bączek znów pociągnął mnie na krzesło.

– Uspokój się, do diabła – zażądał.

– Przecież, kurwa, jestem spokojny.

Monika parsknęła śmiechem. Ponownie wstała, okrążyła biurko, a potem usiadła na jego brzegu, tuż przy mnie. W jednej chwili całe napięcie i złość skumulowały się zupełnie nie tam, gdzie trzeba. Fiut boleśnie naciskał na rozporek, a moja pani adwokat już się nie uśmiechała. W milczeniu przesuwała spojrzeniem po mojej twarzy, by

po chwili, zupełnie od niechcenia, zerknąć niżej. Dokładnie tam, gdzie mnie uwierało.

– Bączek, zostaw nas – poleciła.

– A niby gdzie mam pójść? – zapytał gniewnie.

– Zobacz, co robi córka mojego klienta. Słyszę, że zadręcza moją asystentkę pytaniami. Odciaż dziewczynę. Ładnie proszę.

Nie musiałem nawet patrzeć na Dawida, żeby wiedzieć, jak go wkurwiła. Mimo to grzecznie posłuchał. I nawet nie trzasnął drzwiami, kiedy je za sobą zamykał.

– Co ja mam z tobą zrobić, panie Lisowski? – Monika odsunęła się lekko i przekręciła głowę, udając zastanowienie.

– Zawodowo czy prywatnie?

– A skąd pomysł, że będzie jakies prywatnie?

Byłem mistrzem w długim samczym spojrzeniu, od którego laskom majtki same spadały. Uznałem, że to odpowiednia chwila, żeby je zademonstrować. Oboje przecież wiedzieliśmy, że w końcu będę ją miał, to po co udawać?

– Wczoraj, kiedy mała spała, googlowałem Kodeks Etyki Adwokackiej – skłamałem gładko – więc wiem, że będzie.

Roześmiała się perliście.

– To, że mogę, skarbie, nie znaczy, że chcę. Nie pieprzę się z klientami.

– Od każdej reguły można zrobić wyjątek.

Przestała się uśmiechać.

– Pojedziesz do byłej jeszcze raz... – zaczęła, a gdy się skrzywiłem, kontynuowała: – Porozmawiasz z nią. Przeprosisz, jeśli będzie trzeba.

– Nie!

– Przeprosisz! – warknęła. – Będziesz kurewsko grzeczny i uroczy do wyrzygania. Postarasz się z nią dogadać. Małą zostawisz z Dawidem, żeby emocje nie wzięły góry. Przepraszaj, błagaj, kłam i obiecuj. Cokolwiek chcesz, byle ci uwierzyła i chciała rozmawiać.

– Nie! – Teraz się wściekłem. – Pozwoliła temu zwyrolowi uderzyć córkę!

Monika wróciła za biurko.

– Jesteś pewien? – zapytała spokojnie. – Jesteś pewien, że pozwoliła? Że nie jest współofiara? Że ten skurwiel jej nie bije? Widziałeś, jak dała mu zgodę? Mała ci mówiła, że mama ją bije? Albo że nie lubi matki? Czy przeciwnie: myśli o mamie, chce do niej wrócić?

Coś w jej tonie zmusiło mnie do zastanowienia. Przygryzłem wargę i zacząłem myśleć. Przypomniałem sobie wystraszone spojrzenie Jolki, jej reakcję, kiedy mała krzyknęła... I słowa Magdy. To nie tak, że uwierzyłem od razu w niewinność jej matki czy w to, że również była ofiarą, ale zacząłem się zastanawiać.

No i faktycznie, mogła zgłosić porwanie i byłbym udupiony.

– Dobra – burknąłem. – Pójdę. Ale nie gwarantuję, że znów skurwysyna nie uszkodzę.

– Postaraj się tego nie zrobić. Jestem świetna w prawie rodzinnym, ale od karnego będziesz musiał poszukać innych. – Mrugnęła.

To mrugnięcie... uśmiezek, minimalny grymas, rozszerzające się źrenice... Znałem się na tym, wiedziałem, że mnie pragnie. Dlatego wstałem i pochyliłem się nad biurkiem.

– Zrobię to, ale musisz mi pomóc – poprosiłem miękko.

– Jak? – Podjęła grę.

– Mam minimalny problem z samokontrolą, jak zauważyłaś – przyznałem. – Muszę się wyładować...

Również się podniosła, zmrużyła powieki i niespiesznie oblizła usta.

– Zaczynj ćwiczyć – szepnęła. – Pilates albo joga. Jedno i drugie działa zbawiennie.

– Monika...

Westchnęła i pokręciła głową.

– Kurwa – wymamrotała. – Będę tego żałowała. Kończę o osiemnastej. Masz być punktualnie. – Popatrzyła mi w oczy i dodała: – Nie pieprzę się na pierwszej randce. Od tego nie ma wyjątków.

– Się zobaczy, mała. – Wyszczrzyłem się. – Się zobaczy.

A że lubiłem mieć ostatnie zdanie, wyszedłem, zanim coś dodała.

Nacisnąłem dzwonek trzeci raz i zacząłem już podejrzewać, że nikogo nie ma w domu, gdy usłyszałem ciche dźwięki za drzwiami. Ktoś tam jednak był. Nie tylko to usłyszałem, ale i poczułem, gdy ktoś patrzył na mnie przez judasza.

– Jola, otwórz – poprosiłem cicho.

Mijały kolejne sekundy, aż wreszcie skrzypnął zamek w drzwiach. Uchyliła je nieco, lecz sama pozostała w półmroku korytarza.

– Gdzie Madzia? – zapytała dziwnym, chrapliwym głosem.

– W kinie, na jakiejś bajce. Z moim kuzynem.

– W kinie? – wyszeptała. – Nigdy wcześniej nie była w kinie.

Cholera, nie wiedziałem. Moje dziecko pierwszy raz ogląda bajkę na dużym ekranie, a mnie przy nim nie ma. Kurwa!

– Mogę wejść? – zapytałem ostrzej, niż zamierzałem, czując złość na samego siebie.

Zamiast odpowiedzi, otworzyła drzwi szerzej. Wszedłem i zamknąłem za sobą cicho. Jolka nie włączyła światła, więc i ja tego nie zrobiłem. Widziałem przed sobą zarys jej sylwetki, mroczny w świetle padającym z salonu. Stała przez chwilę niezdecydowana, by wreszcie odwrócić się i powoli ruszyć do pokoju. Szła dziwnie zgarbiona, z pochyloną głową, jakby ją coś bolało. Ten widok przypomniawszy mi słowa Madzi o bolącym sercu i poczułem cholerne wyrzuty sumienia.

– Jesteś sama? – zapytałem, żeby nie myśleć o dręczącym poczuciu winy.

– Zabrałaś mi córkę – przypomniała – więc tak.

Na usta cisnęło mi się pytanie o tego skurwiela, któremu złamałem rękę, ale uznałem, że lepiej nie tykać śmierdzącego tematu. Tym bardziej że Jolka wyglądała dziwnie. Jakby była chora.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem więc.

Milczała, a kiedy już myślałem, że nie odpowie, zrobiła to zmęczonym tonem:

– Nie. – Przeszła przez pokój do kuchni i stanęła w jej progu, plecami do mnie. – Ale bywało już gorzej. Chcesz coś do picia? Alkoholu nie mam, mogę ci zrobić herbatę z cytryną.

– Nie trzeba, dzięki.

– A ja się napiję.

Rozglądałem się po mieszkaniu, ze zdziwieniem zauważając, że nic się nie zmieniło. Byłem tu siedem lat wcześniej i już wtedy drzewiczki w meblościance rodem z lat osiemdziesiątych smętnie wisały, a na blacie nad nimi stał ten mały telewizor. Ławy nie pamiętałem, możliwe, że Jolka jej wtedy nie miała albo po prostu mi umknęła. Teraz zwróciłem na nią uwagę tylko dlatego, że leżała na niej książka, w którą ktoś włożył ogromny masarski nóż jako zakładkę. Przyciągnęła moją uwagę nie książka, bo przecież wiedziałem, że Jolka kiedyś lubiła czytać, ale właśnie ta abstrakcyjna zakładka. Gapilem się na nią przez chwilę, wsłuchany w odgłosy dobiegające z ciemnej kuchni. Potem, po krótkim wahaniu, usiadłem na małej brzydkiej wersalce. Przykrywał ją znajomy koc. Pamiętałem go całkiem nieźle, bo właśnie na nim straciłem dziewictwo.

Nieoczekiwane wyraźne wspomnienie tamtego popołudnia przyniosło skrajnie różne emocje: od lekkiego zażenowania po podniecenie. Od tamtego dnia zaliczyłem więcej lasek niż niejeden gość przez całe życie, a i tak tamto popołudnie pozostawało najśłodszy i najbardziej gorzkim obrazem. Jednocześnie.

Poczułem obecność Jolki, dopiero kiedy podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. Jasny jeszcze chwilę wcześniej pokój pogrążył się w mroku, a dziewczyna usiadła naprzeciwko mnie, w fotelu, obok którego, na ławie, leżała książka.

– Chciałeś pogadać? – odezwała się wypranym z emocji głosem.

Nie znałem jej dobrze nawet siedem lat wcześniej, a co dopiero teraz, mimo wszystko jednak wydawało mi się, że jest jakaś dziwna. Znajomo dziwna. Jak...

Kurwa! Jak ja, kiedy Bączek mi powiedział o wypadku.

– Jola... – zacząłem łagodnie.

– Nie oddasz mi Magdy, co? – domyśliła się. – Zabierzecie mi ją, chociaż kiedyś jej nie chcieliście. Twoja matka próbowała mnie zaciągnąć do takiego lekarza, który robił skrobanki, wiesz? Dawła mi kasę, żebym się pozbyła problemu. Tak ją nazywała. Problemem. – Nie podniosła głosu, wciąż używała tego samego obojętnego tonu.

– A teraz nagle zmieniała zdanie? Kochający tatuś i dziadkowie, co?

Nie zamierzałem jej tego mówić i właściwie nie wiem, dlaczego mi się wyrwało:

– Moi rodzice nie żyją. Zginęli kilka miesięcy temu w wypadku samochodowym. Razem z moim bratem.

Jolka milczała przez chwilę.

– Miałeś brata? – zapytała cicho.

– W lutym skończyłby sześć lat. Gadał jak najęty, jak Magda.

– To ma po tobie. – W końcu pojawiły się jakieś emocje. – Przykro mi z powodu twojej rodziny. – Wyciągnęła rękę, żeby mnie dotknąć, w takim zwykłym geście współczucia, ale zaraz ją cofnęła. – Bardzo mi przykro.

Zapadła dziwna, pełna emocji cisza. Wytrzymałem z kilka sekund, a potem zapragnąłem powiedzieć cokolwiek. Cokolwiek, co by ją przetrwało i usunęło to dziwne drapanie, które zaczynałem czuć w gardle. Dlatego powiedziałem:

– Nie wiedziałem o Magdzie.

– Przecież ci powiedziałam.

– Nie. – Pokręciłem głową, a potem wstałem i podszedłem do okna. – Nie w tym sensie. Mama mi wmówiła, że usunęłaś ciążę. Nie wiedziałem, że urodziłaś.

– Wysyłałam listy.

– Nie dostałem ich. Znalazłem ostatni, ze zdjęciem. Szukałem... nieważne czego i znalazłem w biurku matki. Dlatego przyjechałem. Magda jest całą moją rodziną. – Odwróciłem się, żeby spojrzeć na Jolkę, ale w ciemności panującej w pokoju nie mogłem dostrzec jej wyrazu twarzy. – Nie chcę walczyć, ale jeśli mnie zmusisz, będę. To moja córka, Jolka. Zależy mi na niej. Wiem, że możesz być zła, ale naprawdę chcę być w życiu mojego dziecka. Chcę je uszczęśliwić. Patrzyć, jak dorasta, jak się zmienia. Słuchać tego nieustannego gadania. Kłócić się z nią i przytulać. – Wciągnąłem gwałtownie powietrze i na moment zamilkłem. Wzruszenie i złość, po równo, zaczynały wgryzać się w moje myśli. Ciemność i fakt, że nie widziałem twarzy Joli, nie pomagały. Mimo to spróbowałem mówić dalej: – Jestem sam,

ale mam pieniądze. Mogę dać całej wszystkim, czego będzie chciała. Niczego jej nie braknie. – Przygryzłem wargę, bo milczenie Jolki wprowadzało mnie z równowagi. Musiałem się uspokoić, nim powiem coś, czego potem pożałuję.

Zacisnąłem więc pięści i czekałem. Widziałem zarys ciała Joli, więc wiedziałem, że przechyliła głowę, ale niemożność czytania z jej twarzy doprowadzała mnie do szału.

– Powiedz coś, do cholery! – warknąłem w końcu.

– Co chcesz usłyszeć?

– Najlepiej, że zgadzasz się na podział opieki.

– Nie! – Wstała gwałtownie i ruszyła w moim kierunku.

Cofnąłem się i wpadłem na ciężkie kotary.

– Do diabła! – wrzasnąłem. – To też moja córka! Może mieszkać z tobą i ze mną! – Zrobiłem krok, ale materiał zawinął się wokół mojej nogi. – Co jest, do cholery, z tymi zasłonami?! – Szarpnąłem kotarę, wpuszczając popołudniowe słońce do pokoju.

Jolka zamarła w pół kroku. Ja też.

Kurwa mać! Kurwa! Kurwa!

– Jezus Maria, Jola! – Przyskoczyłem do niej.

Próbowała się osłonić, ale jakoś niemrawo, więc łagodnie chwyciłem jej rękę, żeby obejrzeć twarz. Siniak ciągnął się od brody aż po skroń. Ogromny, fioletowy i napuchnięty tak, że musiała mrużyć jedno oko, kiedy na mnie patrzyła. Nagle cała złość, jaką przed chwilą czułem do Jolki, opadła, zastąpiona straszliwym żalem.

– Chryste, kto ci to zrobił? – zadałem durne pytanie.

Nie odpowiedziała, bo przecież nie musiała. Wiedziałem, kto i wiedziałem, dlaczego. To moja wina! Złamałem skurwysynowi rękę, a on się wyżył na niej. I to nie pierwszy raz, bo ręce Jolki pokrywały starsze i świeższe krwiaki. Część fioletowych, część już brązowiejących.

– Joluś...

– Nie chcę twojej litości – burknęła.

Co miałem powiedzieć? Pojęcia nie miałem co. A ona trochę niezgrabnie wyrwała rękę i odsunęła się.

– Nie będzie podziału opieki – oświadczyła twardo.

– Jola...

– Nie! – Otarła nerwowym ruchem policzki, ścierając pierwsze łzy.
– Moje życie to koszmarnie gównno. Nawet jeśli uda mi się uwolnić od tego sukinsyna, to i tak pozostaje to. – Wskazała ruchem dłoni pokój. – Muszę się pozbierać. I nie chcę, żeby Magda musiała tak dłużej żyć. Rozumiesz? Nie chcę!

Widziałem, jak drży na granicy hysterii, więc milczałem.

– Ale stawiam jeden warunek – kontynuowała Jolka. – Żadnych Stanów. Zostaniecie w Tychach. Chcę ją widywać.

Zapadła cisza, w czasie której próbowałem ogarnąć, co się dzieje. W końcu musiałem się upewnić:

– Oddajesz mi dziecko?

Opadła ciężko na fotel, pochyliła głowę, a potem wyszeptała:

– Oddaję. Z tobą będzie jej lepiej – dodała gorzko.

Stałem tak i patrzyłem na tę śliczną dziewczynę, kompletnie zła-maną i nieszczęśliwą, czując, jak ten mój rozpaczliwy żal oraz współ-czucie ewoluują. Jak rosną, wypełniają mnie i zaczynają się przele-wać. A każda przelana kropla zmienia się we wściekłość. Tak kosz-marne, nieopanowane wkurwienie, że przed oczami zaczęły mi latać czerwone plamy.

Gdyby w tamtej chwili pan Koczyk zechciał wrócić do domu, za-biłbym skurwysyna gołymi rękami. Za Jolkę. Nawet nie za Magdę, ale właśnie za Jolkę. Nie za siniaki czy opuchliznę, ale za te zgarbione plecy i ten pierdolony nóż robiący za zakładkę. Zabiłbym go.

Ale Koczyk nie wrócił, więc stałem tam i patrzyłem na Jolkę.

I aż mnie nosiło.

*

Dotarłem do kancelarii punkt osiemnasta. Minąłem w drzwiach wy-chodzącą z pracy asystentkę Moniki, ale nawet nie kiwnąłem głową, kiedy się mijaliśmy. Do gabinetu mecenas też wszedłem bez pytania. Pochyliła się nad biurkiem. Zerknęła na zegar na ścianie, a potem uśmiechnęła się i zaczęła:

– Punktualnie... – Po czym zobaczyła mój wyraz twarzy.

Złapałem ją wpół i pchnąłem na ścianę, zaraz też przycisnąłem dziewczynę do muru całym ciężarem swojego ciała i wbiłem się w jej wargi. Nie protestowała. Przeciwnie: błyskawicznie otoczyła mnie ramionami i oddała pocałunek. Brutalnie jak ja. Gwałtownie jak ja. Całowaliśmy się przez chwilę, bardziej tocząc walkę na języki i wargi, niż pieszcząc. Czułem paznokcie jeżdżące po karku i wbijające się we włosy. Trochę bolało. Kurwa! Tego było mi trzeba. Bólu.

Przeniosłem rękę na pierś Moniki i zacisnąłem mocno. Sapnęła i w odwecie ugryzła mnie w usta. Warknąłem i napałem biodrami. Byłem twardy. Czuła to. Uniosła się na palcach i zarzuciła mi udo na biodro. A potem zaczęła się ocierać. Wystarczyło.

Pociągnąłem ją w stronę biurka. Odwróciłem tyłem do siebie i zmusiłem do położenia się brzuchem na blacie. Szybko rozpiąłem rozporek, a później opuściłem spodnie. Fiut stał na baczność, twardy i gotowy, kiedy podciągnąłem sukienkę dziewczyny, aż odstoniłem ten zajebisty tyłeczek.

Miała stringi. No jasne, że miała stringi.

Szarpnąłem je w dół. Strzeliły pod moimi palcami, ale miałem to w dupie. Rozsunąłem nogi Moniki... I wbiłem się w nią.

Sapnęła. Złapała się blatu, a ja poderwałem jej biodra, dociskając do swoich, i zacząłem pieprzyć. Mocno. Brutalnie. Bez zastanowienia. Teraz nie miałem ochoty na finezję czy na czułość. Potrzebowałem rżnięcia. Bezosobowego wyładowania koszmarnych emocji. I zapomnienia.

Monika jęczała coraz głośniejsz. Kłykcie jej palców zacisniętych na brzegach biurka pobiegały. Wiła się pode mną, próbując nadać swoje tempo. Bezskutecznie. Położyłem jej rękę na plecach i przycisnąłem do biurka, zmuszając do uległości. Po czym przyspieszyłem. Wbijałem się w nią w zapamiętaniu. Wściekłość szukała wyładowania. Gniew i pożądanie zlały się w jedno. Pieprzyłem się i nie myślałem. Tak! Tak! Tego mi trzeba! Tak!

W końcu poczułem, jak ciało Moniki zaczyna tężeć w zapowiedzi orgazmu. Drapała blat i przeklinała. Aż krzyknęła rozpaczliwie, a kolejne fale jej szczytowania uwięziły mojego rozpalonego fiuta w pie-

kielnym raj. Wbiłem się jeszcze raz. I jeszcze...

Doszedłem na tym zajebistym tyłku, znacząc go gorącą spermą. Po czym opadłem na Monikę, wiążąc ją pod sobą i słuchając jej ciężkiego oddechu. Nie czułem absolutnie nic. Ani przyjemności, ani gniewu. Nic.

– Złaż ze mnie – zażądała dziewczyna po chwili. – Ciężki jesteś.

Wyprostowałem się, a później szybko wciągnąłem spodnie. Nie patrzyłem na Monikę, bo kiedy opadło napięcie, poczułem się głupio. I znowu podle, acz z zupełnie innego powodu.

– Dobra, Lisowski. – Pani mecenas złapała mnie za brodę i zmusiła, żebym spojrzał jej w oczy. Uśmiechała się, więc chyba nie do końca spierdoliłem. – Czemu zawdzięczam to epickie dymanko?

Uwolniłem się, chwytając rękę, którą mnie trzymała, i przyciągając Monikę tak, że opadła na mój tors.

– Epickie? – zapytałem, chcąc ją pocałować.

Wyrwała się zniecierpliwiona.

– Epickie. Było minęło, powtarzać nie będziemy. – Zobaczyła mój wyraz twarzy, więc doprecyzowała: – Teraz. Teraz nie będziemy powtarzać, nie w ogóle. Gadaj: co się stało?

Milczałem, nie wiedząc, co powiedzieć, żeby jej nie zranić. Cholerą, ja bym nie chciał, żeby mnie ktoś potraktował instrumentalnie, a co dopiero laska. Laski są inne, wrażliwsze.

– Marek! Tracisz mój czas. To rżnięcie nie było z pożądania, ale ze złości. I twoje kurewskie szczęście, że biorę tabletki, bo zdaje się, że zabezpieczenie to nie twoja bajka. – Taa, ona jednak nie należała do typowych lasek, bo patrzyła wzrokiem kompletnie wypranym z emocji, kiedy ja poczułem lodowate zimno na myśl o konsekwencjach. – No czego tak wlepiasz te ślepie? Głupia nie jestem. Moich uczuć nie zranisz, bo ich do ciebie nie mam... Nie krzyw się. Nie mam i tyle. Ale jestem twoim adwokatem. Rozmawiałeś z drugą stroną, a potem przyszedłeś nabuzowany jak młody buhaj, więc grzecznie pytam: o co, kurwa, poszło?

Skoro się tak miło napraszała, opowiedziałem wszystko, wraz z krwawymi szczegółami. Nie pominąłem też moich marzeń o zro-

bieniu z oblicza pana Koczyka gorącego tatara.

Monika wysłuchiwała, kiwając głową. Gdy skończyłem, sięgnęła do szuflady i wyciągnęła niewielki kartonik.

– Czyli my mamy happy end. I to nawet podwójny – zauważyła bez cienia uśmiechu. – Po twojej ślicznej buźce widzę jednak, że ciebie to nie satysfakcjonuje. Przynajmniej ten happy end, w którym ja nie brałam czynnego udziału, prawda? – Teraz jej usta lekko drgnęły. – Chcesz porobić za anioła swojej byłej?

Wzruszyłem ramionami.

– To matka mojej córki. Rodzina.

Pani mecenas pokiwała głową i podała mi wizytówkę.

– Kolega po fachu. Jeden z lepszych w sprawach rozwodowych. Mam nadzieję, że ty płacisz, bo twojej pani Koczyk na pewno na niego nie stać. Powołajcie się na mnie, w przeciwnym wypadku może nie znaleźć czasu.

Przypomniałem sobie ten wielki masarski nóż między kartkami książki, więc potaknąłem bez słowa. Wizytówkę schowałem do kieszeni. Monika przyglądała mi się z zastanowieniem, aż wreszcie na jej ustach pojawił się uśmiezek.

– Od pierwszej chwili wiedziałam, że będą z tobą kłopoty, Lisowski.

– I epickie dymanka? – zażartowałem, bo cholerne napięcie właśnie ze mnie zeszło.

– Tak. Tego też się spodziewałam – przytaknęła, poważniejąc. – W twoim przypadku jedno idzie w parze z drugim. Rusz dupę. Wisisz mi kolację. Zgłodniałam.

– Serio, kurwa? Nie wiem, dlaczego. – Wyszczrzyłem się.

Monika sięgnęła po torebkę, ale nagle się zatrzymała.

– Jedna sprawa, panie Lisowski – oświadczyła uroczyście. – Teraz, skoro zostaniesz tatusiem na pełen etat, koniec z bluzgami.

Zamrugąłem zaskoczony.

– Co?

– Będziesz tatą i mamą siedmioletniego dzieciaka, a dzieciaki w tym wieku mają skłonność do powtarzania po rodzicach. Zwłasz-

cza tych wszystkich słów, których powtarzać nie powinny, bo jeśli usłyszysz je kurator albo sędzia, to tatuś będzie miał przejebane. Rozumiesz? – Uśmiechnęła się krzywo. – Dlatego jadaczka w ciup i literacka, kulturalna polszczyzna.

Po czym odwróciła się i kręcąc tym zajebistym tyłeczkiem, wyszła z gabinetu. Gapiłem się za nią z ogłupiałym wyrazem twarzy, bo nijak nie mogłem pojąć, że laska, która kilka minut wcześniej rznąła się bez opamiętania z prawie obcym facetem, a teraz idzie z nim na kolację... bez majtek, bo te zniszczone leżą w koszu na śmieci... że taka laska poucza mnie w temacie kultury języka. Kobiety były zdumiewające, a ja właśnie zostałem opiekunem jednej z nich.

Chwila która trwa

Copyright © Gosia Lisińska

Copyright © Wydawnictwo Inanna

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie drugie, Bydgoszcz, 2024

książka ISBN 978-83-7995-804-7

ebook ISBN 978-83-7995-805-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Iga Wisniewska

Korekta: Aleksandra Sitkiewicz

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Ewelina Nawara

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@inanna.pl

www.inanna.pl

Książkę i ebook najtaniej w księgarni www.MadBooks.pl